

MAGDALENA LEWANDOWSKA

Małgorzata Lewandowska



MAGDALENA LEWANDOWSKA

Żmije

Witia, część druga

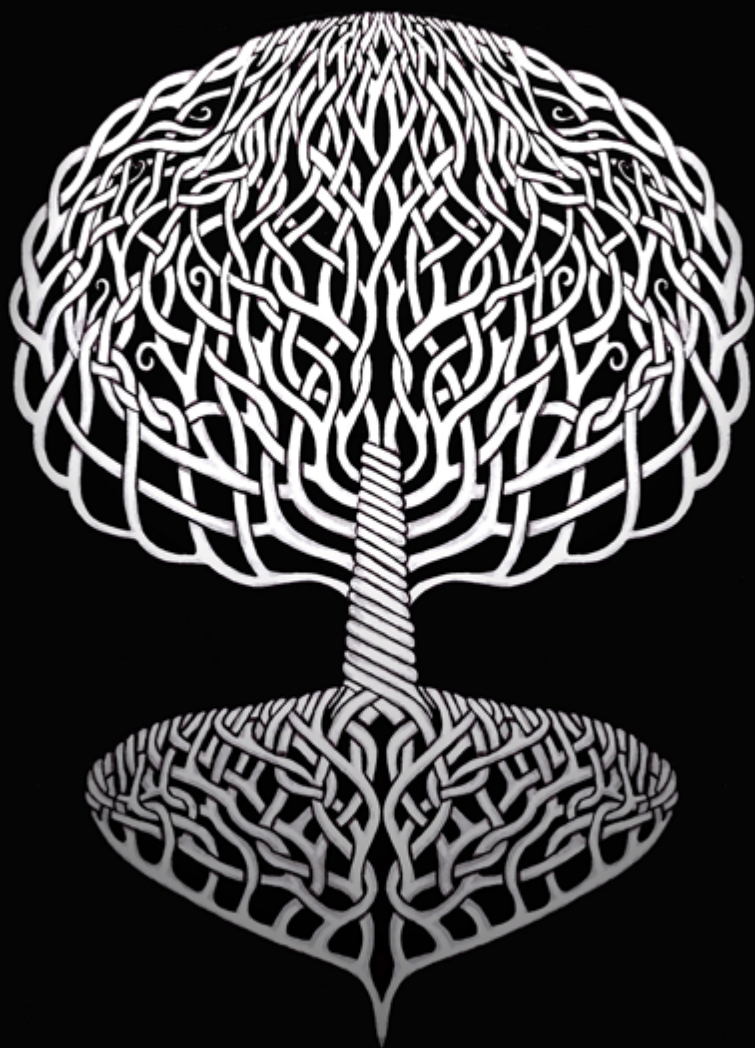


poezja i ilustracje

MALGORZATA LEWANDOWSKA



GENIUS
CREATIONS



dla Gorii Trio – za inspirację

Żmijami Daborczycy nazywają jadowite węże, w mowie Hemaru vipalami zwane. Nazywają tak również kobiety, które kłamiwe są i w sztuce podstępnie biegłe. Ale zarówno pośród pospolitego ludu, jak i w balladach śpiewanych dla uszu możnowładców słyszałem również słowo „żmij” w odniesieniu do podniebnego smoka, co zamiast ogniem piorunami zięje. Nie jest w pełni zrozumiałe, czy smok ten jest przyjazny ludziom, czy wrogi, jako że w niektórych balladach żmije na życie ludzkie nastają, a w innych zupełnie przeciwnie – bronią osad, płonów i dobytku wszelkiego. Jako że znaczenie tego słowa nie jest jasne i może obraźliwym być znalezione, wskazane jest vipery węzami nazywać, w rozmowach z niewiastami słowa „żmij” nigdy nie używać, a o smokach podniebnych tylko słuchać i z podziwem o kunszcie wajdeloty, jak w Daborze bazarzy nazywają, mówić słowami takimi jak: „dobrze”, „zacnie” lub „kunsztownie”.

Elia Meinbuch „O mowie Daboru”



[Kup książkę](#)

KOZDZIAŁ I

(...) bogowie zlitowali się nad swoim ludem i cudem Nowego Słońca wiarę w lepszy los na nowo obudzili.

Wojan z Chłodnej, „Kroniki Daboru”

Trybaldzki port pękał w szwach. Po wodach rzeki Bryt sunęły wypełnione towarami statki, prowadzone przez łodzie pilotów. Obie strony rzeki jeżyły się masztami i różnej wielkości dźwigami. Wozy, skrzynie i wory pełne rozładowywanych dóbr wypełniały nabrzeża rojące się od kupców, żeglarzy, tragarzy, podróżnych, żebraków, złodziei i wszelkiej maści szczerów portowych. Pozornie chaotyczny zamęt nadzorowany był przez licznych noszących wysokie, fioletowe kapelusze urzędników trybaldzkiego kapitanatu.

Veit Astholm, książę Lobardii, stał przy szeroko otwartym oknie swojej prywatnej komnaty, obserwując ruchliwy port.

– Jakież wypadki? – zapytał, nie odwracając wzroku od rzeki.

– Nic poważnego – odparł Rikkert Kluger, osobisty sekretarz księcia. – Paru zabitych, jakieś złamane kości. Żadnych uszkodzonych statków czy nabrzeży.

Veit skinął głową, zadowolony. Jak przewidywał, wojna z Daborem ożywiła ruch przez lobardzkie porty i zwiększyła znacznie zyski z handlu. Dzięki rozbójniczym bandom grasującym po ziemiach kraju Witii daborskie trakty były w większości

nieprzejezdne. Spławianie towarów stało się jedynym bezpiecznym sposobem transportu. Według nadchodzących z Daboru raportów rzeki były tam tak zatłoczone, że ładunki czekały w magazynach tygodniami. Kupcy woleli stracić część zysku i rozładować towar w Lobardii, niż płacić krocie w opłatach składowych.

Niestety, Veit nie przewidział, jak bardzo nasili się ruch przez porty księstwa. W ciągu ostatnich trzech lat w samym Trybaldzie obroty zwiększyły się niemal dziesięciokrotnie. Szybko okazało się, że infrastruktura portu nad rzeką Bryt nie jest przystosowana do przyjęcia tak wielu jednostek pływających. Tylko zeszłego lata zdarzyło się kilkanaście poważnych wypadków. Jeden z nich spowodował całkowite zniszczenie statku i przewożonych towarów. Kupcy ze zrozumiałych powodów byli wściekli i winili pilotów, piloci winili głupotę i chciwość kupców, a obie strony obwiniały kapitanat portu. Aby ułagodzić kupców, Veit z własnej kiesy wypłacił im hojne odszkodowania. By ułagodzić pilotów, książę ustanowił system nagród za bezwypadkowe przeprowadzanie statków przez rzekę. Aby zachęcić kapitanat do bardziej wydajnej pracy, nałożył na urzędników kary za niedotrzymywanie terminów i uszkodzenia towarów. Jak do tej pory system się sprawdzał, jednakże Veit nie łudził się, że problem zatłoczonego portu został rozwiązany. *Trzeba było myśleć, głupi* – wyrzucał sobie, obserwując zgiełk panujący na nabrzeżu. – *Przygotować się. Wykopać kanały, uregulować brzegi, osadę nową założyć...*

– Może jezioro wykopać? Jak w Sławie. Albo kanały? – zastanawiał się na głos.

Rikkert Kluger w zamyśleniu przygryzł koniec rysika.

– Trudno będzie znaleźć ręce do pracy... – odparł po chwili.
– Wielu jeńców na tej wojnie nie bierzemy, niewolnicy drodzy jak szlag. Chyba że więźniów? Żebraków może?

Veit odwrócił się od okna i spojrzał na sekretarza z uznaniem. Rikkert był jego pisarzem od piętnastu lat. Zawsze spokojny i opanowany, zwykle widział nie tylko problem, ale starał się również dostrzec rozwiązanie.

– Wypytaj budowniczych – polecił książę podwładnemu. – Dowiedz się, ilu ludzi potrzebują. Niech dadzą też jakiś kosztorys.

– Wypuścić słowo do Draumów? – zapytał Rikkert.

Na zwykle kamiennej twarzy Veita zadrgał mięsień. Ka-
leb Draum wraz z synami kierował siatką trybaldzkich
złodziei, kieszonkowców, dziwek, żebraków i włamywaczy.
Od niepamiętnych czasów książę próbował pozbyć się tego
tałatajstwa z miasta, jednakże walka z Draumami była jak walka
z cieniem. Po latach bezskutecznych nalotów i aresztowań, aby
uniknąć nieuchronnego upokorzenia Veit zmuszony był zrezy-
gnować. Pomimo wściekłości, którą czuł do tej pory na samą myśl
o Draumach, docenił lekcję, jaką dali mu przestępcy. Nauczył
się od nich, że nie wszystkie cele są warte realizacji i że czasem
poddanie się jest jedynym osiągalnym zwycięstwem.

– Daj znać Draumom – powiedział Veit oschle. – A nuż chcą
się kogoś pozbyć? Może być, jeszcze nam ułatwią łapanek.

– Tak, panie – odparł Rikkert, notując na nieodłącznej
woskowej tabliczce.

Książę znów wyrzwał przez okno. Dzień był chmurny, ale
bez deszczu. Jasna tarcza wiosennego słońca widoczna przez
szare obłoki, wznosiła się wysoko na niebie. Pogoda była w sam
raz na przejażdżkę, którą Veit planował już od kilku dni. Jazda
na koniu zawsze ułatwiała mu myślenie. Potrzebował samot-
ności, aby rozważyć plany na tegoroczną kampanię przeciwko
Daborowi. Musiał również zastanowić się nad Nocą Dnia, nie-
zwykłym wydarzeniem przepowiadany przez Kaspara Hersha,
nadwornego alchemika. Według ostatnich obliczeń Kaspara Noc
Dnia miała nadejść za dwa miesiące. Veit musiał w końcu zde-
cydować, czy wierzyć alchemikowi, i jeśli tak, jak użyć wiedzy
o tym nadzwyczajnym zdarzeniu. Różne strategie i pomysły
kłębiły się w jego zmęczonym umyśle. Przymknął oczy i deli-
katnie pomasaował skroń. *Muszę w końcu wyjść z tych komnat* –
pomyślał, czując narastający ból głowy.

– Panie? – Zaufany sekretarz przerwał zamyślenie księcia.

Veit odwrócił się od okna i spojrzał na podwładnego surowo.
Rikkert nawet nie drgnął. *Tyle lat... Widział wszystko, od samego
początku...* – pomyślał Astholm, patrząc na poorly zmarszcz-
kami twarz pisarza. – *Pomimo to wciąż się mnie nie boi.*

– Na razie to wszystko – rzekł w końcu po przedłużającej się
chwili milczenia. – Dziękuję, Rikkercie.

Sekretarz skłonił się lekko i wyszedł z komnaty. Veit odprowadził

podwładnego wzrokiem, po czym zbliżył się do stojącego przy ścianie srebrnego lustra. Jak na zawołanie z kąta komnaty wynurzył się służący Gwido. Księżę wyciągnął ręce, pozwalając się ubrać. Z zadowoleniem spojrzał na odbicie w wypolerowanej powierzchni. Bogato haftowany kaftan układał się gładko na szerokiej piersi. Ozdobny pas opinał biodra i wciąż jeszcze, pomimo wieku księcia, płaski brzuch. Wysokie czoło i ciemne, przyprószone srebrem włosy nadawały mu powagi i dostojności.

– Tak – powiedział cicho Veit. – Nie lat. Powagi i dostojności.

– Hhh? – Dobiegło zza pleców księcia.

Gwido, niemy sługa Veita, pochylał się w głębokim ukłonie. W jego szczupłych ramionach spoczywał pyszny, obszyty srebrnym wilkiem płaszcz. Pomarszczona twarz starca nie zdradzała cienia emocji.

– To tylko krótka przejażdżka – powiedział księżę. – Płaszcz będzie zbędny.

Służący uklonił się raz jeszcze i bez słowa oddalił ku garderobie. *Dobrze go ułożyłem* – pomyślał Veit, obserwując Gwida w zwierciadle. – *Pomyśleć tylko, że taki był pyskaty, jak zazwyczaj...* Przez chwilę przygarbiona postać służącego zdawała się jakby zamglona. Księżę zmarszczył brwi i przyjrzał się taffi lustra z zainteresowaniem.

– Gwido?

Służący zatrzymał się w pół kroku.

– Widzę tu plamkę – powiedział Veit, skrobiąc palcem powierzchnię zwierciadła.

W komnacie zapadło napięte milczenie. Gwido pobladł i nerwowo przełknął ślinę. *Dobrze go ułożyłem* – pomyślał raz jeszcze Veit. Przygładził włosy na skroni, wyprostował się i skrzyżował ramiona na piersiach. Westchnął głęboko, rozkoszując się gęstym od strachu powietrzem. Zawsze dziwiło go, jak prosty jest przepis na kontrolowanie ludzi. Zwykle wystarczała cierpliwość, upór i konsekwentne działanie, lecz czasem należało jeszcze sięgnąć po odrobinę zimnego okrucieństwa. Niemy garderobiany był tego najlepszym przykładem.

Veit odwrócił się ku pochylonemu w niskim ukłonie słudze. Rzednące włosy Gwida zaczesane były gładko w węzeł na karku. Silne niegdyś barki i plecy zwątpały pod brzemieniem niewoli.

Pokryte bliznami, wysuszone dłonie ścisnęły nerwowo puszysty kołnierz płaszcza. Veit spojrzął na służącego prawie z litością.

– Następnym razem lepiej się przyłóż – powiedział w końcu łaskawym tonem.

Niemy Gwido wyraźnie się rozluźnił. Skłonił się raz jeszcze i zniknął za drzwiami garderoby. Veit wygładził tunikę i wyszedł z komnaty. Pewnym krokiem przeszedł przez gabinet i sieni, zmierzając ku wyjściu na krużganek. Skinięciem dłoni dał znak wartownikom, by pozostali na pozycjach. Chciał być sam. Potrzebował czasu, aby pomyśleć.

Z dziedzińca dobiegały odgłosy uderzeń drewnianych mieczy i okraszane przekleństwami, gniewne okrzyki sierżantów. Najwyraźniej tegoroczni poborowi nie najlepiej radzili sobie z treningiem. Veit zatrzymał się, by rzucić okiem na świeżo upieczonych lobardzkich żołnierzy. Większość ćwiczących na dziedzińcu wyglądała bardziej na chłopców niż młodych mężczyzn. Chude ramiona ledwo radziły sobie z utrzymaniem lekkich mieczy. Gładkie policzki były zaróżowione od wysiłku. Co niektórzy poborowi zdawali się bliscy płaczu. Przez zwykłą kamienną twarz Veita przebiegł grymas niesmaku. *Z roku na rok coraz gorsi* – pomyślał książę, podejmując przechadzkę długim krużgankiem. – *Kto by pomyślał, że nawet w Cesarstwie może zabraknąć ludzi.*

Pogrążony w rozmyślaniach Veit zmierzał ku usytuowanym w przeciwnym skrzydle zamku stajniom. W pamięci przebiegały poplątane nici intryg, którymi oplatał Dabor od dziesięcioleci. Nie mógł zrozumieć, dlaczego ten prymitywny, porośnięty lasami kraj jeszcze istniał. Złamany, bez przywódczyni, praktycznie bez administracji i handlu, corocznie najeżdżany przez lobardzkie wojska, już dawno powinien upaść. Jednak, wbrew zdrowemu rozsądkowi, Dabor uparcie trwał. Veita zaczynały już męczyć te coroczne kampanie, plany i intrygi. Był niezwykle opanowanym i wytrwałym człowiekiem, ale nawet jego cierpliwość miała granice. *Ta wojna trwa zdecydowanie zbyt długo. W tym roku musi się skończyć* – zdecydował z determinacją.

Pogrążony w rozmyślaniach nie zauważył opartej o poręcz postaci. Był okrutnym Veitem Astholmem, ludzie zwykle bali się go i schodzili mu z drogi. Bardziej zdziwił się więc, niż zde-

nerwował, kiedy wpadł na obserwującą niebo kobietę, niemal się przy tym przewracając. Starając się odzyskać równowagę, odruchowo objął szczupłe ramiona niewiasty. Owiał go delikatny zapach mięty i rumianku.

– Wybaczcie, panie – rzekła kobieta, zwinnie wyplątując się z objęć Veita.

Skloniła lekko głowę w uprzejmym ukłonie. Jej oczy były ciemne, niemal czarne, i patrzyły na księcia bez lęku. W ciemni kruzganka Veit nie mógł dojrzeć szczegółów stroju kobiety. *Służąca? Dama?* – zastanawiał się, widząc szlachetne rysy twarzy i pełną gracji, dumną postawę. *I co tu tak ciemno?* – dopiero teraz uświadomił sobie, że dookoła panuje półmrok i niezwykła na tę porę dnia cisza.

– Wybaczcie, panie – powtórzyła ciemnooka kobieta. – Zapatrzyłam się – dodała, wskazując na niebo.

Książe podniósł wzrok. Z niezmiernym zdziwieniem spostrzegł, że prześwitująca przez chmury tarcza słońca nie była okrągła. Przypominała kształtem szybko zwężający się półksiężyc. Oszołomiony Veit oparł się o poręcz.

– Panie jedyny... – wyszeptał. – Noc Dnia.

Gdzieś od strony portu dał się słyszeć trzask miażdżonego drewna.

Ałun już dawno temu powinna być w Hanheim, położonej na północ od Trybaldu posiadłości swojego teścia. Zgodnie z planem Ioni po przybyciu do stolicy Lobardii miała skontaktować się z Draumami i przekazać im ostrzeżenie o Nocy Dnia, a następnie przejąć uciekającą z zamku Astholm Biankę, agentkę Drewian, by wraz z nią ruszyć dalej na północ, do Hanheimu. Ałun nie uważała, że plan Ioni jest zły, jednakże była przekonana, że tak niezwykle wydarzenie jak Noc Dnia powinno zostać wykorzystane w bardziej użyteczny sposób. Rozumiała konieczność utrzymania tajemnicy i nie była zagniewana, że przodkini nie powiedziała jej wcześniej o zbliżającym się zaćmieniu. Wiedziała, że wszelkie dotychczasowe próby zabicia Veita Astholma kończyły się porażką i śmiercią skrytobójczyń. Rozumiała, że ród Drewian nie mógł pozwolić sobie

na utratę kolejnych agentek. Ale zupełnie nie mieściło jej się w głowie, że przodkinie, od miesiący świadome zbliżającej się Nocy Dnia, nie zaplanowały żadnej niespodzianki dla księcia Lobardii. Przecież, na bogów, taka okazja nie zdarzała się codziennie! W końcu, po zażartej kłótni z Ioni i Nyss, Ałun postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce. Nie miała wystarczająco dużo czasu, aby zaplanować cokolwiek porządnie, ale doszła do wniosku, że nie zaszkodzi spróbować dostać się do zamku Astholm i w wywołanym Nocą Dnia zamieszaniu wyrządzić tak wiele szkód, jak się da.

W najśmielszych marzeniach nie spodziewała się, że na krużganku zamku natknie się na samego Veita. Bez strażników! *Żeby chociaż, nęcia mać, nóż jakiś!* – przeklęła w myślach, kiedy książe Lobardii chwycił jej ramiona, by odzyskać równowagę. Przez bramę zamku przeszła, podając się za służebną dziewczkę. Wzięła ze sobą tylko zaszyte w pasie woreczki Snu i kilka ukrytych w szwach sukni igieł. Nie chciała wzbudzić podejrzeń w czasie obowiązkowych przeszukiwań każdego, kto chciał dostać się na zamek.

– *Snem! Snem go!* – krzyczała podekscytowana Ioni.

Ałun już sięgała do pasa. Szybko rozerwała rozluźnione wcześniej szwy i wydobyła płaski woreczek z odurzającym proszkiem. Książę był tak zaskoczony niknącą tarczą słońca, że w ogóle przestał zwracać na nią uwagę. Chwilę potem opadł bezwładnie z ramionami i głową przewieszonymi przez balustradę. Ałun w pośpiechu obmacała ciało Veita i z rozczerwaniem stwierdziła, że Astholm nie ma przy sobie żadnej broni.

– *We własnym domu jest, to co ma się ostrzami obwieszać?* – pocieszała podopieczną Ioni – *Na dziedziniec go wywal! Tak samo będzie martwy jak od noża!*

– *Teraz mi doradzasz?!* – zdenerwowała się grafini, chwytając za nogi Veita. – *A kto mnie jeszcze wczoraj od nieodpowiedzialnych wyzywał?!*

– *Bo się bałam, że cię rozpozna!*

– *Jak ma mnie rozpoznać?!* Poza Arn Fedach zawsze noszę woalkę!

– *Nie zawsze! Teraz nie nosisz!*

– *Bo teraz, nęcia mać, nie jestem grafinią!* – pomyślała wściekle Ałun, siłując się z nogami Astholma.

Księżę Lobardii był strasznie ciężki. Pomimo wielokrotnych prób nie dała rady go podnieść. Jedyne, co osiągnęła po dłuższym mocowaniu się z bezwładnym ciałem, to przewrócenie Veita do półleżącej pozycji, z plecami wspartymi o balustradę.

– *Napakował się jak świnia, suczy syn* – zdenerwowała się przodkini.

– Taki, nęcia mać, zaszary świat – zaklęła Ałun przez zacisnięte zęby.

– *Cicho! Strażników nam tu zaraz ściągniesz!*

Podopieczna Ioni zastygła przez chwilę, nasłuchując. Na zamku panowała prawie zupełna ciemność. Na niebie widoczne były gwiazdy i zaledwie małe jak iskierka kawałek tarczy słonecznej. Na dziedzińcu panował nieprawdopodobny zgiełk. Głośnie modlitwy mieszały się z łomotem przewracanych stojaków na broń, kwikiem koni oraz okrzykami przerażenia i bólu. Wyglądało na to, że ludzie byli zbyt przestraszeni, aby nawet próbować rozpałić ogień. *Dobrze* – ucieszyła się Ałun.

– *Przynajmniej uciec będzie łatwiej!*

Nagle drewniana podłoga krużganka zatrzęsła się od tętentu pośpiesznych kroków.

– *Szybko! Strażnicy już tu idą!* – ostrzegała Ioni.

– *Wiem, zaraza! Wiem przecież!* – odparła Ałun ze złością.

W pośpiechu macała szwy sukni, szukając ukrytych igieł. Po chwili wyciągnęła dwie i z furią wbiła je w oko Astholma. Po omacku otworzyła usta księcia i wcisnęła w nie tyle Snu, ile się dało.

– *Ałun! W nogi!* – ponaglała przodkini.

Ałun kopnęła twarz księcia, aby wbić igły głębiej i rzuciła się do ucieczki. W dłoni ścisnęła ściągnięty z palca Veita pierścień z herbem Astholmów.

– *Na co ci to, głupia dziewucho?!* – denerwował się Ioni. – *Powiesz cię, jak ten pierścień przy tobie znajdzie!*

– *Nie znajdzie* – odparła Ałun ze złośliwym uśmiechem.

Dobiegła już do końca krużganka. Zatrzymała się na chwilę, włożyła pierścień do ust, po czym, krzywiąc się i walcząc z odruchem wymiotnym, połknęła klejnot. Następnie, upewniwszy się, że schody są puste, rzuciła się biegiem po drewnianych stopniach.

Alwina słabła z każdą chwilą. Wciśnięta w gęste krzaki, obserwowwała ludzi krzątających się po ukrytej w głębi lasu osadzie. Utkane z cienia dłonie czarownicy trzęsły się w bezsilnej złości. Słyszała bicie ludzkich serc. Czuła pulsujące w ich ciałach życie. Wystarczyłby jeden, może dwa posiłki i odzyskałaby całą swoją moc. *Tak blisko...* – cichy jak myśl szept wydobył się z wysuszonych ust opętanego głodem cienia. – *Tak daleko...*

Od dwóch dni krążyła wokół leśnego przysiółka. Zużyła niemal wszystkie siły, bezskutecznie próbując skusić choć jedną ofiarę. Mieszkający w osadzie ludzie zdawali się wyczuwać niebezpieczeństwo. W ciągu dnia omijali jej kryjówkę szerokim łukiem. W nocy, obawiając się dzikich zwierząt i leśnych demonów, palili ognie i chowali się w obwieszonymi amuletami ziemiankach. W cienistej formie Alwina była zbyt słaba, aby przebić się przez te żałosne linie obrony.

Nie była pewna, od jak długiego czasu błąkała się po dąborskich lasach. Początkowo z łatwością zdobywała pożywienie. Ledwo ćmiąca się w jej ciele magia, zbyt wątła, aby zwierzęta mogły ją wyczuć, ułatwiała polowanie. Wystarczyło przyznać się i poczekać, a ofiara sama wchodziła w sidła. Potem, kiedy odzyskała siły na tyle, by móc się swobodnie przemieszczać, musiała tylko wyczuć bicie serca jakiejś myszy czy małego ptaka. Sycona życiem z leśnych stworzeń, jej magia odradzała się szybko. Zbyt szybko. Nie minęło wiele dni, zanim zwierzęta zaczęły wyczuwać ją z daleka i omijać zagrożenie w bezpiecznej odległości. Zaczęła też zwracać uwagę leśnych demonów, od których wprost roило się w tej okolicy. Błąkała się między drzewami nie mogąc znaleźć posiłku. Znów zaczęła słabnąć. Kiedy natrafiła na tę osadę, była już zbyt wątła, by przeniknąć przez barierę ognia i amuletów.

Bardziej wyczuła niż zobaczyła zapadającą szybko ciemność. Jakaś, wciąż zdolna do myślenia, część jej umysłu zdziwiła się. Było za wcześnie. Na obrzeżach osady nie płonęły ognie. Mieszkańcy nie zaczęli układać się jeszcze do snu. Szukające posiłku leśne duchy nie zdążyły zebrać się w cieniach drzew. Ukryta w krzakach czarownica była zbyt głodna, by zastanawiać się nad dziwną ciemnością. Mrok dawał jej siłę. Bez jasnego świa-

tła słońca wyraźniej widziała wypełnione lękiem ludzkie dusze. Instynktownie wyciągnęła słabą dłoń i zmusiła utkane z cienia ciało do ostatniego wysiłku. Chwilę potem jej chude palce zacisnęły się na pulsującym sercu. Druga dłoń sięgnęła ku następnej, opętanej strachem ofierze. Przez ciało Alwiny przepłynęła moc. Życie wypełniło jej cienistą formę, nadając kształt splecionej z mroku postaci. Piersi uniosły się w pierwszym od tak bardzo dawna oddechu. Długie, gęste włosy opadły na gładką skórę pleców, muskając krągłe biodra. Po raz pierwszy od niezliczonych dni jarzące się czerwienią oczy spojrzały na świat spod cienistych rzęs. *Noc Dnia* – zrozumienie wypełniło budzące się z otumanienia myśli.

– Noc Dnia! – wykrzyknęła, wznosząc wzrok ku migoczącemu gwiazdami niebu. – Noc Dnia! Dzięki ci, Panie!

Wspomnienia umierających ofiar napływały wraz z falami mocy. Oczami konających Alwina ujrzała siebie sprzed roku. Dumną, nieustraszoną, odzianą w bogatą suknię, zmierzającą pewnie ku wymachującemu młotem potężnemu mężczyźnie. Ujrzała swoją dłoń sięgającą ku szerokiej piersi męża. Za plecami upadającego siłacza zobaczyła młodą dziewczynę dzierżącą łuk. *Kowal! Ten kowal pod Sławą!* – zrozumienie rozjaśniło jej własne wspomnienia. – *To są ludzie Blahera!*

Alwina rozejrzała się dookoła, szukając znajomej postaci przywódcy lobardzkich partyzantów. Było jednak zbyt ciemno, by dostrzec twarze przestraszonych ludzi. Czarownica widziała jedynie ich wypełnione lękiem, łomoczące w piersiach serca.

– Panie Jedyny! Miej litość! Wampiry! Wampiry idą! – Usłyszała okrzyki potykających się w ciemności żołnierzy.

Czarownica spojrzała ku brzegowi lasu. Pomiędzy drzewami dostrzegła jarzące się zimnym blaskiem sowie skrzydła demonów. Uśmiechnęła się z satysfakcją. Jeszcze tak niedawno, jeszcze chwilę temu te żalosne duchy były od niej silniejsze. Odganiały ją od potencjalnych ofiar. Wydierały zdobycz z jej cienistych palców.

– Oni są moi! – wykrzyknęła silnym, odrobinę zachrypniętym głosem.

Rozłożyła ramiona, przywołując wiatr. Smukłą dłonią sięgnęła ku sercu przebiegającego obok żołnierza. Jednym szarp-

nięciem wyrwała życie z piersi nieszczęśnika, a potem wysłała miazdzącą falę powietrza pomiędzy drzewa. Z uśmiechem drapieżnika obserwowała leśne demony uciekające przed posłusznym jej woli wiatrem.

– Oni są moi! – krzyczała ku koronom drzew. – Wara!

Poczuła, że coś zimnego dotyka jej nóg. Zdziwiona, spojrzała ku ziemi. Jakiś obszarpany mężczyzna kulił się u jej stóp.

– Chwała najwyższemu! – mamrotał mąż. – Dzięki, dzięki, jasna panienko.

Brudne paluchy dotykały jej gładkiej skóry, spękane usta kalały jej stopy śmierdzącym oddechem. Alwina jednym podmuchem odepchnęła lobardzkiego żołnierza. Z obrzydzeniem malującym się na pięknej twarzy wyrwała życie z wypełnionej dziękczynnymi modlitwami piersi.

– Nie dotykaj mnie, śmierdzielu! – rzuciła w wykrzywioną bólem i zaskoczeniem twarz umierającego.

Gdzieś z głębi osady rozległy się pojedyncze, nawołujące do spokoju rozkazy. Ktoś próbował rozpalić ogień. Czarownica skrzywiła się, widząc rozpad dyscypliny wśród lobardzkich żołnierzy. Spojrzała ku niebu. Cieniutki jak włos blask słońca zaczynał już rozjaśniać rozgwieżdżone niebo. *Miałam być w Sławie* – pomyślała ze złością. – *Miałam być Witią*. Odwróciła się ku ciemnej linii drzew. Gniewnym gestem rozpędziła ostatnie czające się wśród liści upiory.

– Oni są moi! – warknęła. – Ten cały jebany kraj będzie mój!

Przesunęła zakrwawionymi dłońmi po swoim nagim ciele. Krew, wymieszana z zimnym światłem mocy, jak żywe srebro spłynęła z palców i otuliła krągłe kształty czarownicy, tworząc lśniąca, czerwoną suknię. Alwina wygładziła nową szatę i raz jeszcze wzniosła twarz ku niebu. Napawała się odzyskaną mocą i strachem wypełniającym powietrze ponad leśną polaną. Jej wyostrzone zmysły wyczuwały głównie Lobardczyków. Rozczarowało ją to odkrycie. Po wielu miesiącach spędzonych w kraju Witii polubiła silny, przepełniony mocą starych bogów smak Daborczyków. W porównaniu do nich mieszkańcy Cesarstwa wydawali jej się mdli. *Cóż, jak się nie ma, co się lubi...* – wzruszyła ramionami.

Rozjaśniająca się powoli ciemność pozwoliła jej dostrzec za-

rysy krzywych, byle jak skleconych ziemianek chowających się za ostrokołem. Pewnym krokiem ruszyła ku osadzie. Szła pomiędzy ziemiankami, gestami dłoni oczyszczając drogę z porzucanych wszędzie śmieci. *To cud, że w ogóle przeżyli zimę* – pomyślała, patrząc na nieład i chaos panujący w obozie lobardzkich partyzantów. Zmierzała ku grupie formujących szczyk obronny żołnierzy. Pomimo dzierzonych tarcz i pochodni mężczyźni wyglądali żałośnie. Ubrani byli w wiele warstw byle jak naprawianych ubrań. Wychudzone twarze wykrzywiały się w niemal zwierzęcych grymasach. Niektórzy machali przed sobą dopiero co rozpalonymi pochodniami, rozglądając się nerwowo, wyglądając niebezpieczeństwa. Alwina jednym gestem dłoni przywoła wiatr, który wyrwał łuczywa i tarcze z dłoni zaskoczonych żołnierzy.

– Widzę, że Dabor wam służy – rzekła.

W szybko jaśniejącym świetle słońca partyzanci wyglądali jak bezbronne dzieci obudzone z koszmarnego snu. Co niektórzy zdawali się rozpoznawać Alwinę – patrzyli na piękną kobietę z oszołomieniem i przestachem. Jeden z żołnierzy wystąpił z grupy i zgiął się w parodii dworskiego ukłonu.

– Jak zawsze, przychodzisz na czas, pani – powiedział kwaśno. – Cóż za przyjemność widzieć cię w dobrym zdrowiu.

Blaher. – Rozpoznała przywódcę partyzantów. – *Ciesz się, widzę, niepomieranie...* – pomyślała, spostrzegając ponurą minę mężczyzny. Z uznaniem zauważyła gładko wygolone policzki kapitana i jego dumną postawę.

– Kapitanie. – Czarownica skinęła głową w odpowiedzi. – Zapewniam cię, że przyjemność jest odwzajemniona.

Jakby nie twój beznadziejny podwładni, pewnie by mnie już tu nie było – dodała w myślach. Zbliżyła się do otaczających Blahera żołnierzy. Rozbawiona obserwowała zawieszane na ich szyjach topornie wykonane amulety. Wplecione w niewysuszone gałązki osiki i czarnego bzu wskazywały, że ozdoby mają zabezpieczać przed złymi duchami.

– Widzę, że nie posłuchaliście mojej rady, aby palić zmarłych? – rzuciła lekkim tonem.

– Pani? – Nie zrozumiał Blaher.

– Powiedziałam wam, by palić zmarłych. – Alwina odwró-

ciła się do kapitana i sięgnęła ku wiszącym na jego szyi amuletom. – To prosty sposób, aby uniknąć... – Czarownica spojrzała ku brzegowi lasu, szukając odpowiedniego słowa. – Problemu z demonami – rzekła w końcu.

Blaher pobladł, najwyraźniej pojmując w końcu, czemu jego ludzie nękani byli przez tak wiele upiórów. Alwina w milczeniu obserwowała przywódcę partyzantów. Lubiła go. Był twardy i bezkompromisowy, ale troszczył się o swoich podwładnych. Domyślała się, że wierny nakazom religii Cesarstwa, grzebał ciała zmarłych żołnierzy. Skąd miał wiedzieć, że nasycona mocą Czwórki daborska ziemia ożywiała wszystko, co zostało w niej zakopane? Biorąc pod uwagę wielką liczbę zgromadzonych wokół osady demonów, nie ulegało wątpliwości, że Blaher stracił wielu ludzi w czasie długiej daborskiej zimy. *I wszystkich, głupiec, pochował...*

– Ilu? – zapytała czarownica.

– Zbyt wielu – odparł kapitan przez zaciśnięte zęby. – Ta przeklęta ziemia nas nienawidzi.

– Dziwisz się? – rzekła Alwina lekko, po czym odwróciła się i dumnym krokiem ruszyła pomiędzy uspokajającymi się już żołnierzami. – Szczęśliwie przybyłam na czas! – wykrzyknęła mocnym głosem. – Nadszedł kres chowania się po lasach! Wyruszamy do Sławy, żołnierze!

Wychudzeni mężczyźni ustępowali jej z drogi. Na wymizerowanych twarzach malowała się ulga wymieszana z nadzieją. Alwina rozpoznawała wielu z nich. Miesiące temu, na samym początku jej pobytu w Daborze, natknęła się w lesie na grupę partyzantów Blahera. Pomogła im w ataku na transport broni. Na oczach tych żołnierzy zabiła broniącego swojego dobytku potężnego kowala. Ci mężowie wiedzieli, do czego jest zdolna. Wiedzieli, jak się żywi, a mimo to zdawali się zadowoleni z jej przybycia. *Dał im w kość ten las.*

– Wyruszamy do Sławy! – wykrzyknęła raz jeszcze.

– Z całym szacunkiem, pani – zaoponował Blaher. – Nie możemy opuścić posterunku. Mamy rozkazy od samego księcia!

Zaskoczona Alwina spojrzała ku kapitanowi. Nie spodziewała się oporu. *Trzeba przyznać, jest odważny.*

– Samego księcia? – zapytała słodkim głosem.

Blaher zawahał się. Przez chwilę kapitan i czarownica mierzyli się wzrokiem.

– Mogę dać ci kilku ludzi – rzekł w końcu mężczyzna z ociąganiem. – Nie tylu, ilu poprzednio... Wielu nas nie zostało...

– Dać? – Alwina zapytała jeszcze słodszy tonem.

Choć była pod wrażeniem odwagi przywódcy partyzantów, nie mogła pozwolić sobie na przeciąganie tej wymiany zdań. Sięgnęła po swoją magię i jednym krokiem, unoszona wiatrem, pokonała dystans dzielący ją od kapitana. Położyła dłoń na jego piersi. Wysłała nici utkane z mocy i zacisnęła je wokół serca mężczyzny. Ignorując smród niemytego ciała, zbliżyła twarz do twarzy Blahera.

– Simonie, skarbie – wyszeptała czule – ty mi nie możesz nic dać. Ja mogę wziąć, co chcę. Powinieneś być wdzięczny, że chcę tylko twoich ludzi.

Powoli pociągnęła nici mocy zaciśnięte wokół serca Blahera. Twarz mężczyzny zszarzała. Wykrzywione przerażeniem usta otwierały się i zamykały, bezskutecznie łapiąc powietrze. Czarownica zaczerpnęła nieco energii życiowej kapitana. Przymknęła oczy i westchnęła z rozkoszą. Blaher był silny. Smakował prawie tak dobrze jak Daborczycy. *Nie zabiję go* – pomyślała, rozluźniając nici mocy. – *Jeszcze nie.*

– Rozumiemy się, Simonie? – zapytała.

Przywódca partyzantów pokiwał tylko głową w panice. Alwina cofnęła dłoń i przyglądała tunikę opinającą jego pierś.

– Tak się cieszę, kapitanie – powiedziała na tyle głośno, by mogli usłyszeć ją zgromadzeni wokół żołnierze. – Najpierw musimy się najeść i odpocząć porządnie. Gdzie jest najbliższa wioska?

– Trochę ponad dzień drogi – odparł posłusznie Blaher. – Na północ.

Pomimo bólu w piersiach wciąż stał wyprostowany, z dumnie uniesioną głową. Tylko szarawy kolor skóry wskazywał, jak blisko znalazł się od śmierci.

– Doskonale – odparła Alwina. – Nie ma co tracić czasu, wyruszajmy.

– Pani – Blaher szybko odzyskiwał siły i oddech. – Oni mają doskonałą obronę. Zimują tam woje Drużyny. Próbowaliśmy ich

napaść kilkakrotnie, ale...

– Jakieś zielarki? – przerwała mu czarownica.

– Jedna – odparł kapitan.

Jedna... – zamyśliła się Alwina. Spędziła w Daborze wystarczająco dużo czasu, żeby wiedzieć, jak niebezpieczne są te stare wiedźmy. *Z jedną powinnam sobie dać radę. Byłoby mnie tylko nie wyczuli zbyt szybko.*

– Jestem pewna, że nie będzie to problemem – rzekła. – Wydaj rozkazy do wymarszu.

Bez dalszych dyskusji Blaher skinął głową i wykrzyczał:

– Pakować obóz! Żwawo! Wyruszamy!

Żołnierze rozbiegli się po osadzie, by wykonać rozkazy. Zdawali się ożywieni, niemal entuzjastyczni. Wyglądało na to, że dla tych brudnych, przerażonych mężczyzn wszystko było lepsze od pozostawania w daborskiej głuszy. Alwina przyglądała się partyzantom. Spędziła całe życie, używając ludzi, zawsze jednak pozostawała w cieniu. Wykorzystywała swoje talenty, by zbliżyć się do mężczyzn, manipulować nimi, zdobyć ich władzę i pieniądze. Kiedy jeszcze w Trybaldzie poznała Kalina Wernadzia, żupana Zatonia, wyruszyła z nim do Daboru z ciekawości. Potem chciała użyć jego pozycji i wpływów politycznych, aby zostać wybraną na Witę, ale wydarzenia ostatnich kilku tygodni nauczyły ją, że tak naprawdę może polegać tylko na sobie. Miała dość składania swojego losu w dłonie mężczyzn, nie zamierzała czekać, aż ktoś coś jej da. *Sama wezmę, co moje* – postanowiła z determinacją. – *Sławę, tron Witii i cały Dabor. Sama.*

Żołnierze krzatali się po obozie. Zbierali broń, pakowali smętne resztki zimowych zapasów, popędzali nieliczne brudne i rozczochrane kobiety. Co dziwne, żaden z nich nie zwracał uwagi na przycupniętą przy ognisku, wychudzoną, ale chyba całkiem niebrzydką dziewczynę. Zaintrygowana tym faktem Alwina, zmrużyła oczy, patrząc ku kiwającej się rytmicznie sylwetce, która emanowała nieznaną mocą i zdawała się być zupełnie nie przejęta poruszeniem w osadzie. Czarownica odrzuciła długie włosy przez ramię i ruszyła ku dziwnej postaci. Za plecami słyszała kroki podążającego jej śladem Blahera. Nie zwracając uwagi na kapitana, z coraz większym zainteresowaniem patrzyła na skuloną na ziemi młodą kobietę. Zatrzymała

się, przykucnęła i wyciągnęła dłoń, by unieść pochyloną głowę dziewczyny. Drobna, pokryta siniakami twarz wydawała się znajoma. Wyczulonym na magię wzrokiem czarownica zauważyła, że pod skórą kobiety pulsowały linie utkanego z żywego ognia ochronnego czaru.

– To ta dziewczyna od kowala? – Alwina zapytała stojącego za jej plecami Blahera.

– Ta sama – odparł mężczyzna.

– Co z tym drugim?

– To był jej brat – odpowiedział posłusznie kapitan. – Musieliśmy się go pozbyć.

Alwina zdziwiła się. Pamiętała, jak Blaher błagał ją, by nie zabijała młodszego kowala. Twierdził, że przyda się do naprawiania broni i pancerzy. Czarownica nałożyła na więźnia czar, wiążąc jego umysł, by zmienić go w powolnego sługę.

– Buntował się? – zapytała zaskoczona.

– Po kilku dniach otrząsnął się i pozabijał chyba z tuzin naszych. Musieliśmy go ustrzelić.

– A ta? – Tu Alwina przesunęła dłoń ku piersi dziewczyny.

– Przestała walczyć po jakimś czasie – odpowiedział Blaher.

– Przydaje się.

Do rżnięcia – dodała czarownica w myślach. Delikatnie wysłała nić mocy ku sercu dziewczyny. Pulsujący pod skórą córki kowala ochronny czar rozżarzył się pod dotykiem magii Alwiny.

– Pani – odezwał się Blaher. – Nie zabijaj jej.

Czarownica zignorowała prośbę kapitana i naparła mocą na ochronny czar. Pomimo wysiłków nie mogła się przebić. Obląkana dziewczyna wydawała się w ogóle nieprzejęta zainteresowaniem Alwiny. Patrzyła przed siebie bezmyślnym, niewidzącym wzrokiem i mruzczała coś pod nosem, kiwając się rytmicznie.

– Pani... – nalegał Blaher. – Niewiele mamy tu kobiet. Większość dziwek umarła z głodu, zimna albo rodząc...

Alwina nie zwracała najmniejszej uwagi na błagania przywódcy partyzantów. Natarła na pajęczynę ognia całą swoją mocą i... Nic. *Zasrana suka* – zaklęła w końcu w myślach. Ochronny czar był zbyt mocny. Nie dałaby rady zabić dziewczyny, nawet gdyby chciała. Wdzięczna za nalegania kapitana, udając łaskawość,

cofnęła rękę i szybko wstała.

– Ta też rodziła? – zapytała, dyskretnie rozcierając poparzoną skórę dłoni.

Blaher skinął głową twierdząco.

Błogosławieństwo Kowala i Matki – pomyślała Alwina. – *Nic dziwnego, że nie mogę się przebić.*

– Gdzie dziecko? – dopytywała się z pozorną obojętnością.

– Wyrzuciliśmy. Jak wszystkie. Jeszcze dzieciaków nam tu brakuje. – Kapitan wzruszył ramionami, jakby wyrzucenie noworodka było najzwyczajszą rzeczą na świecie. – Nie spaliliśmy ciał – dodał po chwili, widząc pytające spojrzenie czarownicy.

Zasrani idioci. – Alwina zacisnęła usta w złości. – *Pan sam jeden wie, ile demonów żyje w tych lasach przez ich przekłątą głupotę.* Rozejrzała się po osadzie, oceniając możliwości obrony. *Będę potrzebowała przynajmniej trzech ciał, żeby ochronić ich przez całą noc. Potem jeszcze kilku do walki z zielarką, no i jeszcze coś musi zostać na Sławę...*

– Im szybciej wyruszymy, tym lepiej – zdecydowała w końcu.

– Ta mała może z nami iść, jeśli nadąży. – Łaskawie wskazała skuloną na ziemi córkę kowala. – Jeśli jest zbyt wolna, nie będziemy na nią tracić czasu. Powinniśmy wkrótce znaleźć więcej kobiet.

– Tak, pani. – Kapitan Blaher skinął głową na znak, że rozumie rozkazy.

Nowe Słońce świeciło jasno nad Sławą. W całej stolicy panował nastrój radosnego święta. Mieszkańcy, początkowo wstrząśnięci ciemnością, która zapanowała w środku dnia, teraz tańczyli i śpiewali na ulicach, wznosząc ręce ku niebu.

– Chwała! Chwała! – Rozlegały się dziękczynne okrzyki.

Wszystkie gospody przepełnione były po brzegi. Wszędzie dało się słyszeć radosną muzykę i śpiewy. Smakowity zapach pieczonego mięsa unosił się znad rozpalonych ognisk.

Na jeziorze dopalały się utkane z cisowych gałązek wianki

Ognia Ziemi. Wypuszczone przez zielarki wianki ostrzegały, że żaden akwen nie był bezpieczna. Tego ranka Ognie Ziemi płonęły na wszystkich daborskich jeziorach i rzekach. Flisacy, rybacy, żeglarze i kupcy początkowo nie byli zadowoleni, teraz jednak składali zielarkom dziękczynne pokłony. Gdyby Noc Dnia zastała ich na wodzie, prawdopodobnie roztrząskaliby się o inne płynące rzeką barki, spławiane drewno czy niewidoczne w ciemności brzegi. Nie mieliby też żadnej obrony przed obudzonymi nagle głodnymi topielicami, wodnikami i innymi wodnymi duchami.

Stojko, wojski Zatonia, wpatrywał się ponuro w toń jeziora. Więdące wianki oddawały doskonale jego nastrój. Nie miał wątpliwości, że Noc Dnia była znakiem od Witii. Tak niesłychane wydarzenie mogło być tylko dziełem tej wspaniałej, tęczowookiej dziewczyny. Dziewczyny, która wydała mu wyraźny rozkaz: miał być jej uszami i oczami, miał zostać w Zatoniu i czekać na znak. Ale bezużyteczny, godny pogardy Stojko nie potrafił wypełnić nawet tak prostego polecenia. Zamiast w Zatoniu był w Sławie. Oskarżenia wysunięte przeciwko Piastowi pozbawiły go urzędu. Miłość do żony i syna kazała mu płynąć do stolicy i dlatego zaniedbał obowiązki w służbie Witii. Wzdrygnął się z obrzydzenia dla samego siebie. *Ty miernoto... – wyrzucał sobie w myślach. – Zawiodłeś Witię. Zawiodłeś Dabor...*

– A, tu się schowaliście! – Tubalny głos przerwał ponure rozmyślenia mężczyzny.

Wojski odwrócił wzrok od jeziora. Od strony karczmy Pod Drewnianą Nogą zmierzał ku niemu Bogusz, olbrzymi muzykant, którego wojski poznał jeszcze w Zatoniu. *No i czego on znowu chce?*

– Jeszcze nie możecie uwierzyć, że Piast żyje, co? – zagadnął Bogusz konfidencyjnym szeptem.

Stojko pokręcił głową w milczeniu. Z dwojga złego wolałby mieć martwego syna niż syna zdrajcę. Nie miał wątpliwości, że Piast sprzeniewierzył się Daborowi. Zarówno jego oskarżenie, jak i wyrok zapadł z błogosławieństwem przybocznej, prawej ręki Witii. *Witia się nie myli* – pomyślał ponuro. – *A przyboczna głosi jej słowo.*

– Też nie ma się co dziwić – kontynuował Bogusz. – Jakby

zielarka nie powiedziała, to sam bym nie uwierzył!

Po zniknięciu Piasta z szubienicy podeszła do nich jedna ze sławskich zielarka. Pod pretekstem uspokajania rodziców skazańca kazała im udać się do gospody i czekać na posłańca. Zapewniała, że ich syn żyje. Prosiła jednakże, aby, dla zachowania pozorów, wyglądali na załamanych i zrozpaczonych. Stojko z trudem powstrzymał swoją żonę Duszkę od śpiewania dziękczynnych hymnów. Sam z łatwością przybrał marsową minę. Wiedział jedno: jego syn był zdrajcą, a zielarki pomagały go uratować od zasłużonej kary. *Może te staruchy również spiskują przeciwko Witii?* – zastanawiał się podejrzliwie.

– Takie szczęście! Takie szczęście! Nowe Słońce, Nowa Witia! – cieszył się Bogusz.

Stojko spojrzał ku gospodzie Pod Drewnianą Nogą, zastanawiając się, czy nie powinien przypadkiem dołączyć do rozbawionego tłumu. Lubił przyjaznego olbrzyma, ale w tej chwili nie miał najmniejszej ochoty na pogawędkę. Po wydarzeniach ostatnich kilku dni nie ufał nikomu. Potrzebował czasu, aby wszystko przemyśleć i zastanowić się, jak, o ile w ogóle, może przekonać Witię, że jest wciąż jej wiernym sługą. No i pozostała jeszcze kwestia utrzymania się w Sławie...

– To co teraz zrobicie? – dopytywał się Bogusz. – Zostaniecie w Sławie? Wracacie do Zatonia?

Wojski westchnął smętnie i odwrócił wzrok od roztańczonego dziedzica gospody.

– Duszka się stąd nie ruszy, dopóki nie zobaczy Piasta – odparł ponuro. – A do Zatonia nie ma co wracać. Urzędów nikt mi już przecież nie da... Za stary jestem, żeby się za rolę wziąć...

– Oj, porobiło się, porobiło... – Bogusz poklepał plecy rozmówcy w pocieszającym geście.

Stojko pokiwał smętnie głową. Był wojskim Zatonia od niemal dwudziestu lat. Z poświęceniem pracował dla społeczności ukochanego grodu. Nigdy nie przypuszczał, że będzie musiał szukać nowego zajęcia. Gdyby wiedział, że jego własny syn zgotuje mu takie problemy...

– Wygrywają jak opętani, nie? – Bogusz wybijał palcami rytm skocznej muzyki.

– Ano wygrywają.

– Sam bym powycinał na gęśli...

To idź muzykować i zostaw mnie w spokoju – pomyślał Stojko, zirytowany natrętnością muzykanta.

– Długo jeszcze zostaniecie u Rocha? – dopytywał się olbrzym

A co cię to obchodzi?! – Wojski z wysiłkiem powstrzymywał gniew. Od czasu przybycia do Sławy wraz z żoną pomieszkiwali w gospodzie Pod Drewnianą Nogą. Roch i Jowana, właściciele gospody, kategorycznie odmówili przyjęcia jakiegokolwiek opłaty za pobyt w karczmie. Stojko był niezwykle wdzięczny za pomoc przyjaciół, nie chciał jednak nadużywać ich gościnności. Zwłaszcza że wraz z wojskim i Duszką do gospody wprowadził się ich najmłodszy syn, Ranko. Ranko był w Sławie uznanym złotnikiem. Po zdradzie Piasta stracił swój prosperujący warsztat, gdyż karą za zdradę stanu było powieszenie zdrajcy i odebranie majątku jego rodzinie. *Tak nas ten przeklęty chłopak urządził...* – myślał Stojko, zgrzytając zębami.

– Bo ja to chyba pracę wam znalazłem – rzekł Bogusz nieśmiało.

– Pracę? – ożywił się wojski.

– No tak... Bo...Ten... Tego... – Muzykant zacierał ogromne dłonie jakby w zakłopotaniu.

– No wykrztuśże to w końcu!

– Bo to taka prosta robota jest... – odparł Bogusz niepewnie.

– To, myślę sobie, takiemu wojskiemu to pewnie nie uchodzi...

– Prosta, trudna, nieważne przecież! Ważne, że robota!

– No... Znajomą mam taką, Sarna się nazywa – odpowiedział olbrzym. – Zaczna to, porządna kobieta. Słyszałem ostatnio, że pisarza szuka... Pomyślałem, że można by jakoś teraz ją odwiedzić...

– No to czemu nie mówicie od razu?! – Stojko po raz pierwszy od wielu dni poczuł cień uśmiechu wpływający na jego pobrużdżoną twarz.

– Idźmy, idźmy przecież!

Stary wojski z marsową miną patrzył na wejście do wytwornego budynku. Stał obok Bogusza na zatłoczonej ulicy jednej z wewnętrznych dzielnic Sławy. Szyje obu mężczyzn zdobiły wieńce z wiosennych kwiatów, które dostali po drodze od roztańczonych dziewcząt. Jeszcze chwilę temu Stojko był całkiem zadowolony, gdyż pomimo podeszłego wieku ze-

brał więcej pocałunków i kwiatów niż młody i silny Bogusz. Dodatkowo miał dostać pracę, co oznaczało, że będzie mógł należycie zatroszczyć się o swoją rodzinę. Gdzieś w połowie drogi jego krok nabrał sprężystości, głowa uniosła się dumnie, a na twarz wpłynął zwykły, łobuzerski uśmiech. Mina zrzedła mu jednak szybko, kiedy zobaczył, gdzie mieszka Sarna, jego przyszła pracodawczyni.

– To dom uciech – stwierdził ponuro.

– Aha – odparł Bogusz.

– Duszka mnie zabije.

– Tylko, jeśli się dowie. – Olbrzym starannie unikał wzroku towarzysza.

Akurat się nie dowie... – pomyślał wojski; znał swoją żonę zbyt dobrze, aby łudzić się, że cokolwiek pozostanie dla niej tajemnicą dłużej niż kilka dni.

W liberalnym Daborze praca w domu uciech nie była uważana za wstydliwą. Pracowało tak wiele niezamężnych dziewcząt i nieżonatych młodzieńców, którzy, jak powszechnie wierzone, przed ustatkowaniem się powinni użyć życia. Zupełnie inne zasady obejmowały jednak pary połączone swadźbą – przysięgą małżeńską składaną w świętych gajach. Wojski nie miał wątpliwości, że jego dni będą policzone, jeśli Duszka kiedykolwiek dowie się, że jej mąż codziennie odwiedza dom uciech.

– Nie zaszkodzi przecież pogadać z Sarną, nie? – powiedział Bogusz.

– Nie zaszkodzi – zgodził się Stojko.

Może będę mógł pracować w domu albo coś? – pomyślał z nadzieją, podążając za olbrzymim towarzyszem.

Kwiat Paproci, jak nazywał się wytworny dom uciech, mieścił się w dwupiętrowym budynku z porządną kamienną podmurówką. Przybytek był zapewne niezwykle dochodowy, gdyż nawet w bogatej Sławie budowanie dodatkowej kondygnacji zdarzało się rzadko. Koszty związane z kopaniem fundamentów i wzmacnianiem konstrukcji zwykle były zbyt wysokie, aby ktokolwiek poza najbogatszymi kupcami mógł sobie na to pozwolić. *Pewnie też płacą należycie* – pomyślał wojski, krzywiąc się na myśl, że prawdopodobnie będzie musiał odmówić zatrudnienia w tak bogatym przybytku. Z podziwem oglądał

pięknie rzeźbione drzwi wiodące do przestronnej izby gościnnej Kwiatu Paproci. Zbierało się już na wieczór, więc bogato urządzona sala oświetlona była wieloma kunsztownie rzeźbionymi lampkami i świecami. Stojkowi aż zakręciło się w głowie od ciepłego zapachu prawdziwego wosku. Nie był sobie w stanie wyobrazić, ile musiało kosztować samo oświetlenie izby.

Zawsze przyjazny Bogusz serdecznie witał się ze strażnikami pilnującymi wejścia i krzątającymi się po izbie kobietami. Jedna z uroczych dziewcząt poprowadziła ich ku wymoszczonej miękkimi poduszkami ławie.

– Nieźle, co? – Bogusz kordialnie poklepał Stojka po ramieniu i przysiadł obok.

– Aha – odparł wciąż oszołomiony przepychem wojski. – Duszka mnie zabije – dodał po chwili, przyjmując wypełniony piwem kubek z rąk uśmiechniętej promiennie młodej kobiety.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu, sącząc doskonały, pienisty trunek. Bogusz wybijał stopą rytm radosnej, dobiegającej przez otwarte okiennice muzyki. Stojko zaciskał spocone dłonie na rzeźbionym drewnie kubka. Niemal podskoczył, kiedy jego towarzysz nagle poderwał się z miękkich poduszek.

– Pani. – Olbrzym uklonił się dwornie, pozdrawiając ubraną w ciemną suknię kobietę.

– Boguś! – wykrzyknęła kobieta, wyciągając ramiona ku wysokiemu mężczyźnie. – Co się tak kłaniasz? Przytulić mnie tu porządnie proszę!

Bogusz nie dał się prosić. Chwycił drobną kobietę, podrzucił ją lekko i złapał w powietrzu. Trzymając roześmianą niewiastę w wyciągniętych ramionach, obrócił się kilkakrotnie, po czym postawił ją delikatnie na ziemi. *Śmieje się zupełnie jak Duszka* – pomyślał Stojko, obserwując radosne przywitanie.

– Tak już lepiej – rzekła rozpromieniona kobieta.

– Zawsze do usług, pani – odparł Bogusz, kłaniając się raz jeszcze.

– Już przestałbyś z tą panią – obruszyła się żartobliwie niewiasta. – Sarna! Sarna jestem, a nie jakaś pani!

Właścicielka Kwiatu Paproci była piękną kobietą. Delikatna sieć zmarszczek pokrywających jasną skórę nadawała jej twarzy dojrzałości, lecz nie ujmowała urody. Wąska krajka

przytrzymywała ciemne, przetykane srebrem włosy. Zdobne klejnotami zausznicze błyszcząły w migoczącym świetle świec. Stojko nie wiedział wiele o kobiecych strojach, ale nie mógł nie zauważyć, że lśniący, ciemny materiał sukni oblekał smukłą sylwetkę Sarny jak druga skóra. Wojski poczuł napływający na twarz rumieniec, kiedy mimowolnie wyobraził sobie Duszkę ubraną w strój o tak dopasowanym kroju. Przełknął ślinę i odwrócił wzrok od oszałamiająco pięknej właścicielki domu uciech. Był całkowicie pewny, że żona nigdy nie pozwoli mu na przyjęcie pracy w Kwiecie Paproci.

– A to musi być twój przyjaciel – powiedziała Sarna, wskazując wojskiego.

– To jest właśnie Stojko – odparł Bogusz.

– Pani. – Wojski podniósł się z miękkich poduszek i skłonił dwornie.

– Sarna. – Właścicielka Kwiatu Paproci odwzajemniła ukłon.

– Ta cała «pani» mnie postarza!

– Sarno – odparł Stojko gładko. – Nie ma nic na tym świecie, co mogłoby zmącić tak wspaniałą urodę.

– Zatem twierdzicie, że wiek mąci urodę? – rzekła Sarna z rozbawieniem. – Jakież ciekawe spostrzeżenie...

Zakłopotany Stojko odpowiedział milczeniem i jeszcze głębszym rumieńcem zawstydzenia. Zawsze doskonale radził sobie z gładkimi słowami. *Musi być od tego zmartwienia już mi się w głowie miesza...*

– Wybacz, pani... – wydukał w końcu. – Nie to miałem na myśli.

Kobieta uśmiechnęła się pięknie, ukazując białe, równe zęby. Jej ciemne, niemal czarne oczy obserwowały Wojskiego spod długich rzęs. Pomimo ciemniejszych tęczówek i wytwornego ubrania Sarna wyglądała teraz zupełnie jak Duszka. Stojko mimowolnie zaczął zastanawiać się, czy nie zrobił ostatnio czegoś, co mogłoby rozgniewać żonę. *Właśnie to robisz, głupi!* – powiedział sobie w myślach, powstrzymując się od palnięcia się w czoło. Miał ochotę obrócić się na pięcie i wyjść.

– Oczywiście, że nie! – odparła przyjaźnie Sarna. – Tylko się z wami droczę!

Kobieta wspięła się na palce, by pocałować policzek Bogusza.

– Poczekaj tu, kochany, odprowadzę naszego gościa i zaraz będę z powrotem – powiedziała do olbrzyma, po czym zwróciła się ku wojskiemu. – Chodźcie, chodźcie, Stojko! Nie będziemy przecież rozmawiać o pracy w głównej izbie!

Zrezygnowany wojski pozwolił Sarnie prowadzić się ku prywatnym komnatom. Szli po grubych, miękkich kobiercach wyściełających długi korytarz. Uwieszona na jego ramieniu Sarna opowiadała historie wiszących na ścianach gobelinów. Pięknie haftowane materie niewątpliwie wyszły spod dłoni prawdziwych artystów, jednakże w ogóle nie interesowały Stojka. Ciężki zapach perfum i trajkotanie drobnej kobiety przyprawiały go o ból głowy. Już miał przeprosić Sarnę za pomyłkę i wrócić do domu, kiedy zatrzymali się przed drzwiami na końcu korytarza. Upewniwszy się, że są sami, właścicielka domu uciech wyciągnęła zza stanika metalowy klucz i otworzyła zamek. Wciąż trajkocząc, pchnęła Wojskiego przez drzwi.

Znaleźli się w małej, skąpo oświetlonej izbie. Zdziwiony Stojko rozejrzał się po ciasnym pomieszczeniu. W kącie stały szczotki, miotły i wiadra. Aby uniknąć dotykania ponętnego ciała Sarny, musiał oprzeć się plecami o ścianę i wciągnąć brzuch.

– Pani, to chyba jakaś pomyłka... – zaczął.

W odpowiedzi Sarna położyła palec na ustach, dając mu znać, by zachował ciszę. Zdawała się szukać czegoś w kącie izby. Po chwili dał się słyszeć suchy trzask i ściana za plecami Stojka cofnęła się pod jego ciężarem. Wojski wpadł do oświetlonej lampkami, zimnej, kamiennej komnaty. Drewniane przepierzenie zamknęło się za nim z cichym trzaskiem.

– Wojski, jak miło cię w końcu poznać. – Okryta burym płaszczem postać wysunęła się z ciemnego kąta komnaty.

Stojko płynnym ruchem zwrócił się ku nieznajomej.

– Ktoś ty? – zapytał, odruchowo lustrując otoczenie w poszukiwaniu broni.

Nieznajoma zsunęła kaptur. Wyglądała całkiem młodo, była najprawdopodobniej w wieku Piasta. Miała całkowicie białe oczy, które, choć powinny być ślepe, patrzyły na świat przenikliwym spojrzeniem.

– Jestem słowem Witii – powiedziała.

Stojko zacisnął usta i powstrzymał odruch padnięcia na kolana.

Chociaż kobieta wyglądała i mówiła jak przyboczna, wcale nie znaczyło to, że musiała nią być. Bielmo pokrywające jej oczy mogło przecież świadczyć o chorobie albo nawet jakichś przeklętych czarach. Zawiodł Witę już raz i nie zamierzał powtórzyć tego błędu. Wrogowie Daboru będą się musieli bardziej postarać, żeby skłonić go do gadania.

– Jakiej Witii? – zapytał więc kpiąco. – Jeszcze żadna się nie raczyła objawić.

– Tej młodej dziewczyny, która pokonała czarownicę – odparła nieznajoma.

– Nie słyszałem. To jakieś nowe wieści?

Białooka kobieta pokręciła głową, zirytowana uporem wojskiego. Westchnęła głęboko, przymknęła powieki i wyrównała oddech. Po chwili uniosła powieki, by spojrzeć na rozmówcę mieniącymi się wszystkimi kolorami tęczy oczami.

Bogom niech będą dzięki! – Oszołomiony Stojko padł na kolana. – *Witia! Witia na mnie patrzy!* Przepęłniała go wszechogarniająca radość. Czuł się tak, jakby zobaczył słońce po długiej, niekończącej się nocy, jakby zobaczył deszcz po wielomiesięcznej suszy. To tęczne spojrzenie było jedyną ważną rzeczą na całym świecie. Oprócz Witii i Daboru nic innego nie miało znaczenia. Jego żona, jego synowie, jego urząd, Zatonie – to wszystko było niczym. Mógł bez tego żyć. Ale bez łaski Witii był tylko nic nieznającym paprochem.

– Pani! – Skłonił się i przycisnął pięść do piersi, by przywitać godnie przywódczynię Daboru. – Witia widzi, a przyboczna głosi jej słowo.

W tej samej chwili uświadomił sobie, jak bardzo zawiodł swą panią. Wychował zdradzieckiego syna. Nie wykonał najprostszego rozkazu. Opuścił posterunek. Nie zasłużył na łaskę jej spojrzenia.

– Wybacz! Wybacz pani! – wymamrotał, przelatykając łzy wstydu. – Zawiodłem cię... Tak bardzo cię zawiodłem... Zaprawdę nie jestem godny...

– Chresny – przyboczna zbliżyła się do wojskiego i delikatnie uniosła jego zapłakaną twarz – to Witia prosi cię o wybaczenie. Nikt nie powinien wykorzystywać rodzicielskiej miłości w ten sposób. Nie wyobrażam sobie nawet, przez co musieliście przejść

wraz z żoną.

Stojko niepewnie uniósł wzrok. Barwy tęczy zniknęły z oczu kobiety, jednak Wojski wiedział, że wciąż przekazywała ona słowa Witii.

– Ale, pani! Mój syn zdradził. Moja własna krew!

– Tego jeszcze nie wiemy, chrzesny – odparła przyboczna. – Podejrzewamy, że Piast mógł służyć Daborowi.

Oszołomiony Stojko przysiadł na piętach. Zmarszczył czoło i podrapał się pod opaską na oku. Nie zdradził? Po długich dniach obwiniania się i zwątpienia ta myśl wydawała się niemal zbyt wspaniała, aby być prawdziwą.

– Z różnych względów oskarżenie Piasta było najlepszym sposobem, aby wydobyć go z lochów – tłumaczyła przyboczna. – Witia nakazała mi przyspieszyć jego skazanie i egzekucję. Jak się dzisiaj przekonaliśmy, miała rację.

– Witia wie... – wyszeptał Stojko nabożnym tonem.

– Już niedługo Saja przybędzie do Sławy – ciągnęła przyboczna. – Będzie mogła wtedy spojrzeć w serce twego syna. Przekonamy się, jakie były jego prawdziwe intencje.

– Czyli Piast naprawdę żyje?

– Żyje. – Białooka kobieta skinęła głową. – Rawa, jedna z jego przyjaciółek, wyprowadziła go w czasie Nocy Dnia. Piast jest teraz pod opieką zielarek, gdyż ludzie skarbnika podawali mu wiele odurzających ziół. Również Sen.

Sen! – zaniepokoił się Stojko. Zanim został wojskim, spędził wiele lat w Drużynie Witii. Znał ten produkowany przez zielarki biały proszek aż za dobrze. Sen używany był przez żołnierzy tylko w ostateczności. Był bardzo silnym środkiem, tłumiał największy ból spowodowany najstraszniejszymi ranami, ale w razie przedawkowania mógł spowodować sen wieczny. Był również bardzo uzależniający. Stojko nieraz widział dzielnych, nieulekłych wojów płaczących jak dzieci, błagających o najdrobniejszą szczyptę Snu.

– Zielarki są dobrej myśli – kontynuowała przyboczna. – Prawdopodobnie za dwa, trzy dni będziesz mógł go zobaczyć. Chcemy, abyś porozmawiał z nim i spróbował wyciągnąć od niego jak najwięcej informacji.

Wojski skinął głową na znak, że rozumie.

– Dostaniesz pracę tu, u Sarny, jako pisarz. Kwiat Paproci jest odwiedzany przez wielu wysokiej rangi urzędników z Pałacu. Chcemy, abys zwracał na nich baczną uwagę. Podejrzewamy, że niektórzy z nich mogą być lub byli w kontakcie z Kalinem.

– Przeklęty zdrajca! – Stojko splunął z obrzydzeniem na samą myśl o żupanie Zatonia. – Bogom dziękować, że mu się na głowę w tych lasach rzuciło.

– Spróbuj zaprzyjaźnić się z nimi – ciągnęła przyboczna. – Nikt cię nie będzie winić, jeśli będziesz musiał mówić zdradliwe słowa o Witii czy Daborze. Może warto by było zasugerować, że wiesz coś o działalności syna. Tylko bądź ostrożny. Nie wiemy jeszcze, czy Piast to zdrajca czy bohater.

Wojski w skupieniu słuchał poleceń. Był teraz najszcześliwszym mężem w całym Daborze. Nie zdradził Witii. Wykonywał jej życzenia. Co więcej, ukochana przywódczyni powierzyła mu dalsze zadania. Ufała mu!

– Pozostaje tylko problem Duszki – podjęła przyboczna. – Nie chcemy trzymać matki z dala od syna, jednak nie wiemy, czy twoja żona będzie potrafiła utrzymać tajemnicę.

Stojko zamyślił się. Duszka była wspaniałą kobietą. Była mądra, sprytna i wielokrotnie okazywała się dużo bardziej przewidująca od męża. Jednakże rzadko przejmowała się sprawami, które nie dotyczyły domu i rodziny. Jeśli jej synowie i mąż byli zdrowi i szczęśliwi, nie robiło jej specjalnej różnicy, czy mieszkała w Zatoniu, czy w Trybaldzie. Nie był pewny, czy Duszka będzie chciała uznać pierwszeństwo dobra Daboru ponad potrzebę widzenia się z synem.

– Pozostawiam to twojemu uznaniu, chrzesny. – Przyboczna podniosła się i otuliła płaszczem. – Do zobaczenia wkrótce – rzuciła przez ramię i zniknęła w ciemnym kącie komnaty.

Bezwładne ciało leżało na wąskiej leśnej ścieżce. Puste oczy wpatrywały się w widoczne pomiędzy gałęziami rozgwieżdżone niebo. Bez światła księżyca w głębi lasu panowała niemal nieprzenikniona ciemność, w której tylko nocne drapieżniki mogłyby dostrzec utkaną z szalejących czarnych płomieni sylwetkę, pochyloną troskliwie nad ciałem dziewczyny.

Malina – szeptały liście. – Wstań, siostró...

Bezwładne ciało pozostało nieruchome. Tylko lekko unosząca się pierś wskazywała, że dziewczyna wciąż jeszcze żyje. Nie tak dawno temu szła z grupą gniewnych ludzi. Ale, osłabiona i zobojętniała, nie dała rady za nimi nadążyć. Zmęczona, położyła się do snu na tej leśnej ścieżce. Gniewni ludzie deptali po niej i kopali ją. Nikt nie pochylił się, by jej pomóc. Więc została.

Malina – nalegały liście. – Wstań...

Dziewczyna milczała. Utkany z czarnych płomieni cień gniewnie odgonił gromadzące się wokół drapieżniki. Jego wyciągnięta dłoń sięgnęła w czający się pod konarami drzew mrok. Po chwili silne ramię uniosło się, dzierżąc wykuty z ciemności młot. Smolisty obuch uderzył głucho w udeptaną niezliczonymi stopami ziemię.

Malina – szeptały liście. – Siostró, wstań!

Ciało dziewczyny pozostało na ziemi. Mroczna postać podniosła się i cofnęła w cień drzew. Czekwała.

Gdzieś z głębi lasu dało się słyszeć perlisty, dziewczęcy śmiech. Wkrótce ciemność panująca pod gęstymi koronami drzew wypełniła się utkanymi ze światła cieniami. Smukłe sylwetki tancerek pochyliły się z ciekawością nad wychłodzonym ciałem. Długie palce dotknęły białych policzków. Pod delikatnym dotykiem skóra dziewczyny rozjarzyła się siecią ognistych linii. Utkane ze światła cienie pociągały za płomienne nici, poruszały palce, ramiona i stopy, jakby bawiły się tą ludzką mario-netką. W końcu nauczyły bezwładne ciało kroków tańca. Radosnie, wirując wokół nowej zabawki, oddaliły się w las.



[Kup książkę](#)

KOZDZIAŁ 2

*Z wyjątkiem kraju Witii wszystkie inne porty na morzu
i rzekach haracz bezlitosnym Trogeńczykom płacą*

Khaleel al Nimh „Opowieści z dróg i traktów”

Stolica wysp Trogen opustoszała. Wszyscy mieszkańcy Hjalmu wylegli na pobliski płaskowyż, na którym odbywała się Fraga, wiec Żeglarzy. Wokół ustawionych na kształt okrętu monolitów rozstawiono stoły i rozpalono ogniska. Zewsząd dobiegały śpiewy i radosna, skoczna muzyka. Żeglarze nie tylko świętowali powrót Słońca, ale również chwalili imię Witii, która wspa-
niałomyślnie wysłuchiwała ich błagań i swą niepojętą mocą przywróciła światło dnia. Wznoszono kielichy na zdrowie ragany Frigg, która wraz ze swoim ludem padła na kolana przed Witią i pomogła wybłagać przywrócenie Słońca. Wszędzie również dało się słyszeć przekleństwa kierowane ku starym hogerom, których pycha i zachłanność tak bardzo rozgniewały władczynię Daboru.

Po długim popołudniu wypełnionym przyjmowaniem darów i hołdów Saja miała dosyć. Była bardzo zmęczona. Miała dwanaście lat, była sierotą i od zaledwie kilku tygodni – Witią. Podróżowała przez pół Daboru i całe Morze Północne, aby zdążyć na wiec Żeglarzy. Od tygodni każdą wolną chwilę spędzała na planowaniu i przygotowaniach do Fragi. Naiwnie wy-

obrażała sobie, że po Nocy Dnia będzie mogła w końcu odpocząć. *Odpocząć...* – pomyślała kwaśno, tłumiąc ziewanie. Plecy i pupa bolały ją niemiłosiernie od długiego siedzenia, a na dodatek męczyły ją wyrzuty sumienia z powodu Stojka, wojskiego Zatonia. Widziała go tylko przez krótką chwilę oczami przybocznej Lubiny, jednak to wystarczyło, aby uświadomiła sobie, jak bardzo skrzywdziła tego bogom ducha winnego męża. Uczyniła go chrysem, zmieniała jego umysł tak, aby Witia i Dabor były najważniejszymi wartościami w jego życiu. Głęboko współczuła żonie i synom Stojka i modliła się, aby kiedyś jej wybaczyli.

Dar Witii umożliwiał Sai pozostawanie w kontakcie z przodkiniami. Zwykle doświadczenia i rady przebywających w zaświatach kobiet z rodu Drewian były bardzo pomocne, teraz jednak doprowadzały ją do szału. Lida, jej matka, pocieszała ją, zapewniając, że nikt nigdy nie dowie się, czemu Stojko się zmienił. Wena, babka Sai, bagatelizowała zmartwienia wnuczki, twierdząc, że rolą Witii jest podejmowanie trudnych decyzji. W rezultacie wysiłków matki i babki Saja pochmurniała coraz bardziej. Wypełniona głosami przodkiń głowa pulsowała już tępym bólem, kiedy do kakofonii głosów dołączyły radośne okrzyki Ioni:

– *Dziewczyny! Dziewczyny! Słuchajcie! Atun rozwalila Veita!*

– *Atun Drewian* – odpowiedziały opiekujące się Drzewem Wspomnień rusalki. – *Córka Sarny Drewian i Gerarda Halle, obecnie znana jako Beata Straube von Walden, Grafini...*

– *Dzięki, siostry* – Saja ze zboląłą miną przerwała potok informacji. – *To na razie wystarczy.*

– *Co?!* – wykrzyknęła Wena. – *Jak to rozwalila Veita?!*

– *Już wam pokazuję!* – odparła podekscytowana Ioni.

Proszę nie... – pomyślała umęczona Saja, pilnując, aby przodkinie tych myśli nie słyszały. Fala obrazów błyskających w jej umyśle była ostatnią rzeczą, jakiej teraz pragnęła. Zwłaszcza że wieści z Trybaldu wywołały jeszcze większe wzburzenie głosów w zbolącej głowie.

– *Mylisz, że go to zabiło?* – pytała Wena.

– *Igły to może i nie, ale tyle Snu na pewno! Toż to by ululało z dziesięć chłopów!* – przekonywała Ioni.

– *W nos może i tak, ale w głowę?* – Babka Sai nie wydawała się

być przekonana.

– *Oleny trzeba zapytać* – zasugerowała Lida.

– *Olena! Olena!* – wydzierała się Ioni.

Saja westchnęła głęboko i sięgnęła po wypełniony piwem puchar. Wiedziała, że powinna przejąć się przyniesionymi przez Ioni nowinami, ale po długim popołudniu spędzonym na przyjmowaniu hołdów i wyglądaniu dostojnie, była po prostu zbyt znużona. Poza tym nie widziała specjalnie sensu we wtrącaniu się w dyskusję o ranach Veita. Nie wydawało jej się, aby przodkinie potrzebowały dodatkowego rozmówcy.

– Czy chciałabyś się udać na spoczynek, Witio? – zapytała siedząca obok Sai ragana Frigg.

– Z przyjemnością – powiedziała Saja ze szczerym uśmiechem.

Duchowa przywódczyni Żeglarzy nie wydawała się świadoma poruszenia panującego w głowie Witii. Choć sama pochodziła z rodu Drewian, nie miała kontaktu z zaświatami. Przed kilkoma latami odrzuciła oferowany jej tron Daboru i tym samym stała się swego rodzaju czarną owcą rodziny, z którą tylko Ioni utrzymywała znajomość. Reszta przodkin zachowywała się tak, jakby przywódczyni Żeglarzy w ogóle nie istniała. Saja podejrzewała, że gdyby nie wpływy, jakie Frigg miała na wyspach Trogen, ród Drewian całkowicie by się jej wyrzekł.

Młoda Witia podniosła się z kamiennej ławy i podążyła za raganą. Odetchnęła z ulgą, zauważając, że głosy przodkin ucichły. Przez chwilę zastanawiała się, co powiedziała Olena w kwestii śmiertelności podanej Veitowi dawki Snu, ale doszła do wniosku, że niespecjalnie ją to obchodzi. *Wcześniej czy później i tak mi powiedzą...* – pomyślała, obchodząc ogromny stos darów Żeglarzy. – *Czy tego chcę, czy nie...*

Trogeńczycy obdarowali ją mnóstwem cennych przedmiotów, takich jak zdobione skrzynie, haftowane złotem suknie czy wyszukane gobeliny, uwolnili wszystkich Daborczyków przetrzymywanych na wyspach, a na dodatek dorzucili jeszcze tuzin zamorskich niewolników. Na widok Daborczyków wzburzona Saja zapragnęła na nowo uwolnić rusałki i posłać te żądne krwi demony nie tylko na zadufanych w sobie hogerów, ale na wszystkich zgromadzonych Żeglarzy. Gdyby nie interwencja ragany Frigg i zdecydowany sprzeciw przodkin, radosna uczta zmie-

niłaby się w prawdziwą rzeź. Frigg zapewniała, że Daborczycy, podobnie jak pozostali niewolnicy, trafili na wyspy Trogen jako haracz z nadmorskich miast Cesarstwa i traktowani byli przez Trogeńczyków lepiej niż w Hemarze. Pod wpływem tych zapewnień, Saja uspokoiła się nieco i chwilowo porzuciła temat, by uniknąć dalszych kłótni.

– *Będzie trzeba pewnie ze trzy statki, żeby przewieźć to wszystko do Daboru* – zagaiła Lida.

– *Bogowie, znowu się zaczyna...* – pomyślała Saja ze zrezygnowaniem.

– *Niewolnicy się przydadzą* – dodała Wena. – *W polu mogą robić, wały wzmacniać.*

– *Ile razy mam mówić, że nie przyjmujemy niewolników!* – oburzyła się Saja. – *Nie zgadzam się!*

– *Nie możemy ich nie przyjąć* – poprawiła ją babka. – *Jeszcze Trogeńczycy pomyślą, że ich dary nam nie w smak.*

– *Dary w smak, ale nie niewolnicy! Jak w ogóle można darować komuś ludzi?!* – upierała się dziewczyna. – *Trzeba ich uwolnić.*

– *To ich znowu połapią!* – denerwowała się Wena. – *Na jakim ty świecie żyjesz, dziewczyno?!*

Znużona Saja westchnęła ciężko i przymknęła oczy. *Co jej ugryzło?!* – zastanawiała się. – *Nie mogą przestać jazgotać?*

– *Już nie marudź, wnuczko* – odezwała się surowo Wena. – *Któregoś dnia docenisz radę starszych...*

– *Mamo!* – wtrąciła Lida, matka Sai. – *Dajże dziewczynie spokój!*

– *Mamo, babciu, proszę...* – Saja z wysiłkiem powstrzymała się od krzyku. – *Pokłóćcie się innym razem. Ja naprawdę potrzebuję trochę ciszy.*

– *A może byś się w końcu zaczęła przyzwyczajać do bycia Witią, co?* – odparła nieustępliwie Wena. – *Zaledwie jedno popołudnie urzędowych wystąpień i już potrzebujesz odpoczynku. Jak...*

– *Mamo!* – Lida stanęła w obronie córki.

Saja z trudem zmusiła się do spokoju. Doświadczenia ostatnich tygodni nauczyły ją, by traktować duchy przodków z szacunkiem. Głosy z zaświatów potrafiły być bardzo denerwujące, ale mimo wszystko były przydatne. *Jesteś Witią* – powiedziała sobie z determinacją. – *Weź się w garść.* Podniosła wysoko głowę, zaciśnęła usta i ignorując kłótnie przodków, ruszyła przed

siebie. Tuż za nią podążyła wsparta na kosturze zielarka. Korowi, członkowie osobistej straży Witii, otaczali Saję ochronnym kręgiem. Ich szerokie tarcze tłumiły nieco odgłosy radosnej wrzawy świętujących Trogeńczyków. Ragana Frigg pewnym krokiem prowadziła orszak Witii ku brzegowi morza, z daleka od wrzawy rozbawionego tłumu.

– Jeden korowy nam tutaj wystarczy – oznajmiła zielarka Raja, kiedy oddalili się już na znaczną odległość od pola Fragi.
– Reszta może zająć się szykowaniem łodzi na jutro.

– Myślałam, że udajemy się na odpoczynek? – Saja zatrzymała się i spojrzała na staruchę pytająco.

– *Na odpoczynek!* – zakpiła Wena. – *Od kiedy to Witia odpoczywa?!*

– Miałam nadzieję, Witio, że będziemy mogły porozmawiać, zanim odpłyniesz do Daboru – powiedziała Frigg.

– Na co czekacie? – rzuciła zielarka ku czterem dzierżącym tarcze mężczyznom.

Korowi stali niewzruszeni. Miro spojrzał kątem oka ku Witii. Przez chwilę na jego ogorzałej twarzy widać było rozbawienie. Stojący u jego boku wilk Skra leniwie machał ogonem. *Na co oni czekają?* – zastanawiała się Saja.

– *To są twoi korowi* – tłumaczyła Lida. – *Słuchają tylko ciebie.*

– *Mam ich odesłać?* – zapytała Saja niepewnie.

– *A na co ci czterech?* – zirytowała się Wena. – *Masz zielarkę, jakby co, da sobie radę z raganą.*

Saja przymknęła zmęczone oczy i rozmasowała skronie. Ból głowy stawał się niemal nie do zniesienia. Ciężkie zausznice doprowadzały ją do szału. Poirytowana zdjęła opaskę podtrzymującą włosy i klnąc pod nosem, wcisnęła ją za pas. W końcu podniosła wzrok i otworzyła usta, chcąc zwrócić się do Mira.

– *Mów do Senka, on ma starszeństwo* – poprawiła ją babka.

– Pewnie, parchy, wszystko robię źle... – wymruczała rozdrażniona Saja, po czym zwróciła się do krępego korowego. – Senko, mógłbyś, proszę, zająć się przygotowaniem łodzi?

– Pani! – Senko przycisnął pięść do piersi i skłonił się z szacunkiem.

Wsparta się na kosturze starucha przewróciła oczami. *Jeszcze ta się będzie boczyć...* – pomyślała ze zrezygnowaniem Saja.

– *Nic jej nie będzie, Witio* – usłyszała łagodny głos zielarki Oleny.

No i, parchy, trzecia w mojej głowie – zaklęła Saja, tym razem pilnując, by nie zostać usłyszaną przez przodkinie.

– Miro, za mną – Senko rzucał krótkie rozkazy. – Oleg, Bożan, zostajecie z Witią.

– Witio? – odezwała się ragana.

Saja odwróciła się do Łamiącej Łód. Frigg zapraszającym gestem wskazywała w stronę brzegu morza. Na skalistym urwisku rosły już, wznoszone mocą ragany, dwa lodowe trony. Saja odwróciła się ku zielarce i dwóm korowym.

– Zostańcie tu, proszę – powiedziała swoim opiekunom, po czym ruszyła za Łamiącą Łód.

– *Uważaj* – ostrzegła ją Wena. – *Znów się będzie chciała targować.*

– *Przecież Ioni mówiła, że można jej ufać* – zaoponowała Lida.

– *Ja rozumiem, że mamy mało czasu i wiele pilnych rzeczy do zrobienia* – niespodziewanie wtrąciła Olena. – *Wszystkie jesteśmy zdenerwowane. Jednakże sądzę, że Witia, pomimo młodego wieku potrafi zadbać o interesy Daboru. Pięknie sobie poradziła z Żeglarzami. Zaufajcie jej.*

Saja zaskoczona wypowiedzią zielarki z westchnieniem opadła na lodowy tron.

– Dzięki – powiedziała.

Ragana skinęła głową w milczeniu. Lekki wiatr rozwiewał jej długie białe włosy, ciemna woskowana skóra oblekała smukłe ciało, a ciepłe światło zachodu słońca lśniło czerwienią na ostrzach rękawicy Iswaard. Wyciągnięta na lodowym tronie Saja rozkoszowała się ciszą i kątem oka obserwowała Frigg. *Jest taka piękna* – pomyślała z podziwem. Niespodziewanie poczuła się zawstydzona swoim chudym, kościstym ciałem. Podciągnęła kolana do piersi, chcąc ukryć wciąż jeszcze dziecięce kształty. Przez chwilę żałowała, że zdjęła zdobną opaskę z głowy.

– Nie usiądziesz? – zapytała w końcu, aby przerwać kłopotliwe milczenie.

Łamiąca Łód potrząsnęła głową, sięgnęła po zawieszony u pasa srebrzysty bicz i wskazała ku morzu.

– Tak lepiej słyszeć fale – odparła. – Nie chcemy wszak, aby wieść o powrocie Witii dotarła do Cesarstwa zbyt wcześnie.

Saja skrzywiła się, słysząc odpowiedź ragany. Po raz kolejny uświadomiła sobie, że wiec Żeglarzy to tylko początek. Teraz, kiedy ogłosiła całemu światu swoje istnienie, będzie jej dużo trudniej ukrywać się przed prześladowcami.

– Ktoś już próbował przesłać jakieś wieści? – zapytała.

– Tolef z klanu Sylte – odparła Frigg. – Zaraz po Nocy Dnia. Siostry przechwyciły jego ptaki. Będzie przesłuchiwany w nocy.

Łamiąca Lód wpatrywała się w falującą łagodnie powierzchnię morza. Podeszła do samego brzegu urwiska i trzasnęła srebrnym biczem. Morze, posłuszne mocy ragany, wzburzyło się i zakotłowało spienionymi grzbietami fal.

– Mogę pomóc – zaoferowała Saja po chwili.

Umiejętność czytania i kształtowania dusz ludzkich była częścią daru Witii. To w ten sposób Witie tworzyły chresnych.

– Wiem – odparła Frigg pomiędzy trzaśnięciami bicza. – Tworzenie chresnych... To jedyne, czego czasem żałuję.

Frigg również pochodziła z rodu DREWIAN. Wiele lat temu została nawet wybrana na Witę, przywódczynię Daboru. Odrzuciła jednak ten tytuł.

– Tylko tego? – zapytała Saja z ciekawością. – Wybacz, ragano, że tak bezpośrednio, ale...

– Pytasz czemu odrzuciłam Pierścień Łez? – wtrąciła Frigg.

– Tak – przytaknęła dziewczyna, usadawiając się wygodniej na lodowym tronie. – Czemu?

Łamiąca Lód zwijała srebrzysty bicz, zadowolona ze wzburzonego na nowo morza. Po dłuższej chwili milczenia odwróciła się do rozmówczyni.

– Co dziwi mnie, Witio, to czemu ty go zatrzymałaś? – odpowiedziała pytaniem.

Ręce Sai z pewnością by opadły, gdyby nie były wsparte o kolana. *Czemu wszystko, parchy, musi być takie trudne?! – zastanawiała się, czując narastającą, bezsilną złość. Nie można, nęcia mać, po prostu odpowiedzieć na proste, parchy, pytanie?! Spojrzała w nieprzeniknioną, bladą twarz Frigg, starając się odgadnąć, czego ragana od niej oczekiwała. Sięgnęła pamięcią do rozmowy z Oleną, kiedy po rozniesieniu zaświatów w perzynę, otoczona tumanami mgły, podjęła decyzję, by pozostać Witią. Przez chwilę szukała słów, zastanawiała się, jak wytłumaczyć swoje*

pobudki. *Chrzanię* – powiedziała sobie w końcu, sfrustrowana.
– *Co jej będę, parchy, tłumaczyć...*

– Bo ładny jest, nie? – odparła lekkim tonem, wyciągając przed siebie dłoń, noszącą Pierścień Łez.

Ragana wybuchnęła głośnym śmiechem. Zgięta w pół, uderzała dłońmi w smukłe uda. Chichocząc, z trudem łapała oddech. *Ona jest szalona* – pomyślała Saja, obserwując zaśmiewającą się Frigg. Ze zdziwieniem stwierdziła, że nie słyszy żadnych komentarzy Weny. Czuła obecność przodkiń, wiedziała, że słuchają. Mimo to nie słyszała nawet jednej uwagi. *Może naprawdę mi ufają?* – zastanawiała się podejrzliwie. Wzruszyła ramionami, zbyt zadowolona ze spokoju i ciszy panujących w jej myślach, by dociekać przyczyny.

Frigg uspokajała się powoli. Usiadła na lodowym tronie, przerzuciła długą nogę przez oparcie, a podgoloną na bokach głowę oparła na dłoni. Przyglądała się w skupieniu metalowym kolcom rękawicy Iswaard.

– Ja się nie nadaję do rządzenia Daborem – powiedziała w końcu. – Może i pochodzę z rodu Drewian, ale tak naprawdę jestem Żeglarzem z krwi i kości. Dabor to ziemia. To mozolna praca, czekanie na plony, cierpliwość, powtarzalność. Czterej bogowie obracający w nieskończoność kołem życia. Trzeba planować, szukać ustępstw i porozumienia... To nie dla mnie, Witio. Dabor zasługuje na więcej.

– Rządzenie wyspami nie wymaga planowania? – zapytała Saja, starannie ukrywając kpinę.

– Może i wymaga – odparła Frigg lekkim tonem. – Nie wiem. Ja jestem raganą. My nie rządzymy, my doradzamy.

Bogowie... Czego ona ode mnie chce? – Saja, zrezygnowana, oparła głowę o kolana. *Nie można powiedzieć wprost?* – Po raz kolejny powstrzymała ziewnięcie. – *Po ludzku. Jak Miro. Albo Raja. Zatręskniła nagle za swoimi opiekunami. Za długą podróżą z Szubinek do Sławy. Za czasami, kiedy jej obowiązki sprowadzały się do czyszczenia kopyt, słuchania zielarki i podążania śladem wozu. Na co mi to było?* – zastanawiała się smętnie. – *Po co ja się tak męczę?*

– Jaka jest więc twoja rada, ragano? – zapytała, zdeterminowana, aby zakończyć tę męczącą rozmowę. – Wiedziałas o Nocy

Dnia i pomimo to wpuściłaś mnie na Iskeide, Lodową Łódź. Pozbyłam się dla ciebie hogerów. Żeglarze szanują cię teraz bardziej niż kiedykolwiek. W czym jeszcze mogę ci pomóc, ragano?

Frigg nie zaśmiała się. Nie kpiła. Nie udawała szalonej. Zamiast tego wyprostowała się na lodowym tronie, pochyliła ku Sai i spojrzała w tęczowe oczy Witii z niezwykłą powagą.

– Użyj nas, Witio – powiedziała.

Dziewczyna zmarszczyła czoło, nie rozumiejąc prośby ragany.

– Twoja przemowa, Witio! – Poważne, skupione spojrzenie Frigg zwróciło się ku morzu. – Tam, pod wzniesionym masztem Iskeide. Mówiłaś o Aaki, o Pierwszym Żeglarzu. Przypomniłaś nam, kim byliśmy, kim wciąż jeszcze możemy się stać. Kiedyś, dawno temu, na naszych kanorach przemierzaliśmy morza, odkrywaliśmy nowe lądy. Zawieraliśmy przymierza. Mieliśmy przyjaciół i sojuszników. Nasze żagle witane były z radością, gdy przynosiliśmy wieści i towary. Dziś nikt już nie chce z nami handlować. Mamy wrogów i Hemar, który chce nas wszystkich pochłoniąć. Te przygłupki, hogerzy, myślą, że z Cesarstwem można się dogadać. Ale prawda jest taka, Witio, że jeśli Dabor padnie, upadek wysp będzie tylko kwestią czasu.

Jesteśmy w pułapce, Witio. Zapomnieliśmy, jak żyć z morza. Potrafimy tylko grabić. Klany zabijają się o najmniejszy kawałek drewna, aby zbudować jeszcze jeden windaskip i wyruszyć na jeszcze jedną wyprawę łupieżczą. Nikt już nie odkrywa nowych szlaków. Chcą tylko łupów i łatwego bogactwa.

– Nie jesteśmy najmądrzejsi – kontynuowała Frigg po chwili.
– Nie jesteśmy najbardziej wytrwali. Ale umiemy żeglować i jesteśmy dzielni. Nie jest łatwo przestraszyć Trogeńczyków. Ty tego dokonałaś, Witio. Dziś mój lud boi się ciebie bardziej niż czegokolwiek. Zrobią wszystko, aby nie utracić słońca po raz kolejny. Użyj tego. Użyj nas. Weź swój Tragna Sward, swój Wierny Miecz, i przekuj go w coś, z czego my, Żeglarze, możemy być dumni. Uratuj nas, Witio.

Saja milczała zaskoczona przemową ragany.

– Żeglarze są jak woda – podjęła Frigg po chwili. – Są niepokonani, kiedy płyną w jednym kierunku. Fale gnane silnym wiatrem mogą skruszyć nawet skałę. Bądź naszym wiatrem, Witio. Boimy się ciebie, chcemy cię zadowolić. Jednak

zimą, gdy wiatry ustaną, a nasze windaskipy zawiną do portów, Żeglarze zaczną knuć. Znów zaczną myśleć o bogactwie i łupach. Jeśli miałas plany na lata – zmień je. Bądź naszym wiatrem teraz. Użyj nas, użyj naszego strachu. Zażądaj od klanów wszystkiego, czego tylko możesz potrzebować. Lecz zażądaj tego teraz. Nie czekaj. Zabierz nam wszystko, zostaw tylko nasze okręty. Powiedz jedno słowo i splądrujemy dla ciebie Lobar-dię. Rudź stanie w płomieniach, jeśli tego zapragniesz. Użyj nas i wygraj wojnę w tym roku. Nie czekaj. Odbuduj Dabor i zostań naszym sprzymierzeńcem. Handluj z nami. Daj nam zboże za nasze kryształ. Daj nam drewno za nasz węgiel. Zmusz nas do pracy. Zabierz całe to przeklęte bogactwo klanów. Pozwól nam się odrodzić!

Saja przetarła twarz dłonią. *Ona jest zupełnie obłąkana* – przemknęło jej przez myśl.

– Ragano, Trogen jest sojusznikiem Daboru – powiedziała łagodnym tonem jak do dziecka. – Prosisz mnie, żebym was okradła, wciągnęła w wojnę. Jeśli zaczniecie atakować Cesarstwo w ten sposób... Czy wiesz, ilu Żeglarzy może zginąć? To, o co mnie prosisz, jest zdradą.

– Wiem, Witio – odparła Frigg ponurym, zdeterminowanym głosem. – Niech zginą. Bez bogactwa i bez tych głupich przywódców klanów będziemy mieli szansę na nowy początek. To jest moja zdrada, nie twoja.

– Ale będą winić mnie.

– Zaufaj mi, Witio – rzekła ragana. – Będą winić siebie. Rzucają się do walki, aby zmyć winy wobec Daboru. Pozwól im na to. Przyjmij tę ofiarę.

– Jesteś zupełnie szalona... – wyrwało się Sai, zanim zdążyła się ugryźć w język.

Frigg parsknęła śmiechem i pochyliła się, by poklepać dłoń Witii.

– Nie bardziej niż ty! – powiedziała, rozbawiona.

– Ja nie jestem szalona!

– Nie jesteś? – rzekła ragana z kpina. – Spójrz na siebie. Chude, ledwo co odrośnięte od ziemi dziecko. Z czterema wojami, zielarką i wilkiem. Dużo lepsi od ciebie nie odważyliby się nawet zbliżyć do Iskeide, a co dopiero zapukać w jej burtę!

Jesteś szalona, Witio. Obląkana, opętana miłością do swojego ludu. Tak jak ja.

Saja nie wiedziała, co myśleć. Plan ragany wydawał się zbyt szalony, żeby mógł być podstępem. Nie wymagał od Daboru żadnych poświęceń, żadnych kosztów. Oprócz obietnicy handlu, jeśli wygrają tę wojnę.

– A co, jeśli przegramy? – zapytała. – Co, jeśli Cesarstwo nas pokona?

– To jest bardzo mało prawdopodobne – odparła nieugięta Frigg.

– Ale nie jest niemożliwe – upierała się Saja.

– Cóż... – Ragana wzruszyła ramionami. – To wszyscy umrzemy. Kiedyś trzeba.

– *Babciu?* – Saja sama nie wierzyła, że przywołuje przodkinię.

– *Co o tym myślisz?*

– *Myślę, że Frigg ma ochotę na Lobardię i szuka pretekstu do ataku*

– odparła rzeczowo Wena. – *Możliwe jest również, że zupełnie już postradała rozum. Ale daje nam wiele, a nie żąda w zamian nic. Jeśli Żeglarze chcą się wykończyć, byłoby nieuprzejme sprzeciwiać się ich planom.*

– Dobrze więc – powiedziała Saja do Łamiącej Lód. – Powiedz mi tylko, ile mogę zażądać i kiedy.

Frigg podniosła się z lodowego tronu płynnym, pełnym energii ruchem. Na jej poważną dotąd twarz wpłynął zwykły drapieżny uśmiech. W ostatnich promieniach słońca jej postać zdawała się ociekać czerwienią.

– O szczegóły zapytamy moje siostry. – Wyciągnęła dłoń ku Sai, by pomóc jej wstać. – Chodź, poznasz inne ragany, pogadamy sobie, posłuchamy, co Tolef ma do powiedzenia, a potem wyciśniemy trochę krwi z klanów.

– Znaczy kolejna długa noc... – Saja burknęła pod nosem i przyjęła dłoń Łamiącej Lód.

– Nie marudź, siostrze – powiedziała Frigg. – Odpocznijmy w grobie.

– Wiesz, że to nieprawda – odparła Saja, zaskoczona poufałym tonem ragany.

Komentarz Witii wyraźnie rozbawił Frigg. Dla kobiet z rodu Drewian śmierć była tylko utratą ciała. Po przejściu w zaświaty,

uwolnione od potrzeb cielesnych, jeszcze bardziej nieustrudzenie pracowały dla dobra Daboru. Ragana poklepała Saję przyjacielsko po plecach.

– Lubię cię, Witio – powiedziała. – Naprawdę cię lubię!

Pomimo wysiłków ragan Tolef z klanu Sylte nie miał wiele do powiedzenia. Nieszczęśnik siedział na kamieniu umieszczonym na dziedzińcu Frist Foradd, domu bogów, gdzie mieszkały trogeńskie czarownice. Jego stopy i dłonie zatopione były w zimnej skale, skóra pokryta pręgami poparzeń, odmrożeń i ran, a on wciąż, pomimo tortur, milczał jak zakłęty. No może z wyjątkiem złorzeczeń, które wykrzykiwał w kierunku przesłuchujących go kobiet. Saja, wstrząśnięta okrucieństwem ragan i pełna podziwu dla uporczywości hogera, bardzo chciała, żeby męki mężczyzny już się skończyły. Z pewnością, gdyby miał coś powiedzieć, do tej pory już dawno by się złamał. Poza tym była przekonana, że mocą Witii osiągnęłyby dużo więcej niż wszystkie trogeńskie czarownice razem wzięte. Ale za radą przodków, chcąc uszanować zwyczaje gospodarzy, czekała cierpliwie, aż zostanie poproszona o pomoc.

Przesłuchanie Tolefa oraz pierwsze spotkanie ragan z nową Witią, jak wszystkie ważne wydarzenia w życiu Żeglarzy, odbywało się pod otwartym niebem. Dziedziniec Frist Foradd oświetlony był kręgiem pochodni i ognisk. Zgromadzone kobiety siedziały na pokrytych miękkim mchem kamieniach, na wymyślnych lodowych, skalnych czy kryształowych siedziskach lub po prostu na ziemi. Większość z nich pozostawała w kręgu na krótko. Doradzały nowe sposoby torturowania Tolefa, przysłuchiwały się rozmowom, wyrażały opinie lub dzieliły się wiadomościami o klanach i odchodziły. Jedynie Saja, towarzyszący jej korowi i zielarka, Frigg oraz Noord i Svana, dwie inne ragany, pozostali na wiecu przez cały czas.

Ku zaskoczeniu Sai okazało się, że Frigg jest jedną z najskromniej ubranych ragan. Większość obradujących kobiet nosiła wymyślne, bajecznie kolorowe i przeważnie bardzo skąpe stroje. Ich włosy ułożone były w przedziwne fryzury i udekowane piórami, koralikami, pierścieniami czy metalowymi nit-

kami lub łańcuszkami. Noord, która, jak zgadywała Saja, władała mocą jednego z bogów wiatru, była prawie zupełnie naga, z wyjątkiem okrywającej biodra cienkiej, falującej, jakby poruszanej podmuchem materii. Jej ciało, włączając w to wygoloną na tyso głowę, pokrywały splecione linie ciemnych tatuaży. Za każdym razem, kiedy Noord powstawała, by przemówić, Saja rzucała ukradkowe spojrzenia ku korowym. Za każdym razem z dumą zauważała, że Oleg i Bożan nie zdawali się być w ogóle przejęci nagością ragany. Czuźnie obserwowali otoczenie w poszukiwaniu niebezpieczeństw, zupełnie przy tym ignorując prowokujący wygląd zebranych kobiet. W przeciwieństwie do opanowanych korowych, siedząca obok Witii zielarka Raja nie ukrywała rozbawienia. Okutana w zieloną chustę, grubą narzutkę i kilka warstw suto marszczonych spódnic, wodziła wzrokiem za mieszkankami Frist Foradd i co jakiś czas dyskretnie dzieliła się z Sąją kpiącymi komentarzami na temat niepraktyczności wyjątkowo udziwnionych strojów.

Ragany zdradziły wiele sekretów klanów. Witie interesowała nie tyle zasobność skarbców co wielkość floty, liczebność Żeglarzy, możliwości zaopatrzenia i potencjał militarny. Z pomocą przodkiń zapamiętała długą listę żądań, jakie miała wysunąć wobec hogerów. Wena cieszyła się ze zdobytych informacji jak dziecko z Darnych Godów, a Saja dostawała bólu głowy na samą myśl o długich i burzliwych dyskusjach, rozważaniach i analizach planów, jakie, była pewna, niedługo odbędą się w zaświatach. Ale z drugiej strony doszła do wniosku, że wolałaby dyskusje w zaświatach niż dalsze patrzenie na męki Tolefa. *Kiedy one zrozumieją, że tak niczego nie osiągną?* – zastanawiała się, odwracając wzrok od umęczonego mężczyzny.

– Myślę, że nic tu więcej nie wskóramy – powiedziała Svana, jakby czytając w myślach Witii.

Svana uczestniczyła w spotkaniu od samego początku. Była drobna, bardzo delikatna i kobieca. Jej magia najprawdopodobniej pochodziła od bogini opiekującej się matkami lub rodzinami, gdyż przesłuchiwała Tolefa z czułością, niemal troską i tym łagodnym podejściem zdawała się osiągać jakieś rezultaty. Hoger łkał pod delikatnym dotykiem drobnej ragany. Nie przeklinał jej, lecz błagał o wybaczenie, ale pomimo to, poza prośbami

o łaskę, nie powiedział nic.

– Może poprosimy o pomoc naszego gościa? – zasugerowała Frigg.

Svana, Noord i trzy inne obecne w kręgu ragany spojrzały ku grupie Daborczyków z zaciekawieniem. Wydawało się, że uwaga obdarzonych mocą kobiet skupia się raczej na zielarce niż na Sai. *Frigg nie powiedziała im o mocy Witii?* – zdziwiła się dziewczyna. Nie oczekiwała od ragany lojalności wobec rodu Drowian czy Daboru. *No i dobrze. Niech się Raja popisuje mocą* – pomyślała zadowolona. – *Nikt się przynajmniej nie dowie o chrzesnych*. Podniosła się, dała znak korowym, by zostali na miejscu, i pochyliła się ku Raji.

– Matko – powiedziała do zielarki. – Pozwól, że cię wesprę ramieniem.

Starucha spojrzała na Witę z błyskiem rozbawienia w oczach. Przyjęła ofertę pomocy i podniosła się z głośnym stęknieniem.

– Dziękuję, dziękuję, córuchno – powiedziała z szerokim, bezzębny uśmiechem.

Wsparta na ramieniu Witii, z kosturem w dłoni, powoli zbliżyła się do ragan i umęczonego hogera. Obrzuciła Tolefa badawczym spojrzeniem, po czym pokręciła głową karcąco.

– Ech, ta młodość, taka porywcza – powiedziała na tyle głośno, aby usłyszały ją wszystkie zebrane w kręgu kobiety. – Toż przecież takie rzeczy głową się robi, a nie siłą. Któż to widział, żeby ludzi tak męczyć.

Ragany nie odpowiedziały na zaczepkę, ale na ich dumnych, pewnych siebie obliczach pojawiły się zmarszczki niepewności. Stojąca nieco z tyłu Frigg opuściła głowę, chcąc ukryć rozbawienie. Saja nie była pewna, ale wydawało się jej, że Łamiąca Łód mrugnęła do niej porozumiewawczo.

– *Witio, przygotuj się* – oznajmiła z zaświatów Olena, zwyczajowa łączniczka pomiędzy Witą i zielarkami. – *Raja skieruje jego wzrok na ciebie*.

– Potrzymaj mój kostur, córuchno. – Starucha zwróciła się do Sai. – Ciężki się jakoś tak na stare lata robi...

Saja posłusznie przyjęła kostur i ustawiła się nieco z boku, w odległości jakiś dwóch kroków od Tolefa. Tęczowymi oczami Witii czujnie obserwowała twarz mężczyzny, gotowa pochwycić

jego spojrzenie. Raja mamrotała coś pod nosem i wodziła pomarszczonymi dłońmi po poranionej skórze mężczyzny. Zielone nici mocy zielarki oplatały ciało Tolefa niczym bluszcz, unieruchamiając go. W końcu starucha dotknęła szyi hogera i przechyliła jego głowę ku wspartej o kostur dziewczynie. Przekrwione, umęczone oczy mężczyzny spotkały tęczyowy wzrok Witii. Saja uwolniła moc.

Życie Tolefa z klanu Sylte było zadziwiająco uporządkowane. Wspomnienia, plany, marzenia i aspiracje spletały się ze sobą w równą, schludną sieć. Na pierwszy rzut oka nie wydawało się, żeby cokolwiek w życiu hogera miało jakąkolwiek wartość. Saja nigdzie nie mogła znaleźć wspomnień dzieciństwa czy ukocha-nych. Luźne nici zapomnianych zdarzeń zdawały się starannie przycięte i poukładane. Po dłuższym namyśle doszła do wniosku, że tylko zewnętrzna ingerencja mogła wyjaśnić tak nienaturalny porządek we wspomnieniach Żeglarza. *Babciu?* – zapytała podejrzliwie.

– *To nie ja* – zapewniła ją Wena. – *W życiu tego człowieka nie widziałam!*

Młoda Witia badała sieć wspomnień Tolefa z narastającym zainteresowaniem. Tkanina jaźni Hogera zdawała się spleciona z dwóch różnych nici. Jasna przędza pamięci przetykana była ciemniejszymi, pobłyskującymi metalicznie liniami. Oczka sieci były sztywne, jakby utwardzone żelazem obcych nici. *O co tu chodzi?* – zastanawiała się. – *Czarownica jakaś, czy co?*

– *Raczej czarownik* – wtrąciła Olena. – *Wygląda mi to bardziej na magię kowala.*

– *Spróbuj je powyciągać* – zasugerowała zaintrygowana Wena.

– *A jak mu coś zrobisz?* – Jej wnuczka nie była przekonana.

– *Już gorzej chyba być nie może.*

– *To prawda...* – zgodziła się Olena.

Saja ostrożnie próbowała wyskubać sztywne, metaliczne nici. Bardzo starała się, aby nie rozerwać jasnej przędzy wspomnień. Nie potrafiła wyobrazić sobie, jak nieszczęśliwe życie musiał wieść Tolef oplątany tą siecią obojętności. Jak bezduszną musiała być osoba, która okaleczyła Żeglarza w tak okrutny sposób? Było jej się żal hogera. W skupieniu, z determinacją wyskubywała i odpłatywała metaliczną sieć. Zupełnie zatraciła się

w tej żmudnej pracy. Przepływające pod jej palcami, uwolnione od więzów wspomnienia, podsuwały obrazy z życia Tolefa. Widziała jego niezliczone statki, jego dom na wyspie Sward. Krótkie, porwane przebłyski życia rodzinnego i dzieciństwa. Widziała kamienny zamek, ciemne, wilgotne i zimne piwnice. Czuła ból gryzionych przez szczury palców. Niektóre z obrazów wydały jej się dziwnie znajome. Nie próbowała jednak zrozumieć tych wspomnień, chciała je tylko uwolnić. Z zacięciem, niezmordowanie odpłatywała nić za nicią.

– *Saja* – wypełniony niepokojem głos matki przerwał skupienie dziewczyny.

– *Mamo, nie teraz* – odparła Saja, męcząc się nad szczególnie upartą nicią. – *Daj mi chwilę...*

– *Saja! Musisz wyjść!* – upierała się Lida.

– *Nie teraz!* – odparła zirytowana dziewczyna.

Była tak blisko. Jeszcze kilka oczek sieci i uwolni ostatnie wspomnienia. Splątane obrazy z życia hogera unosiły się wokół niej jasną chmurą. Smutna samotność ciemnych piwnic mieszała się z zimnymi podmuchami wiatru w białych żaglach. Ból rozrywanego ciała z pierwszym krzykiem pierworodnego syna. *Gdzie to jest?* – denerwowała się Saja. Znała te piwnice, widziała je już wcześniej. Nawet jazgotliwe piski szczurów wydawały jej się znajome. Niecierpliwie, z uporem wypalała ostatnie nici metalicznej sieci.

– *Saja! Jesteś w niebezpieczeństwie!* – Głos Lidy znów zakłócił skupienie dziewczyny.

– *Nie teraz, parchy!* – wydarła się Saja.

Była tak blisko. Jeszcze tylko kilka nici. Jeszcze tylko trochę. Rzeźbiony krużganek i szerokie wiodące do lochów kamienne stopnie wydawały się tak bardzo znajome. Pochodzący z pamięci mężczyzny obraz grubych, skutych żelazem nadgarstków nakładał się na odnalezione przez rusałki wspomnienia spleśnionych kobiecych rąk... *Ioni! To była Ioni!* – Saja w końcu zrozumiała, czemu obrazy z pamięci hogera wydawały się jej znajome. Z okrzykiem tryumfu wypaliła ostatnią nić. Uwolniona przędza jaźni zawirowała, szukając odpowiednich splotów, chcąc obudować utraconą formę. Rozdzielone, pocięte wspomnienia szukały się nawzajem, łączyły się, odnajdywały właściwe miejsca.

W tym samym momencie dziewczyna została brutalnie wyrwana z umysłu Tolefa.

– Co, parchy?! – Usłyszała swój własny, zachrypnięty głos.

Kręciło jej się w głowie. By utrzymać równowagę, odruchowo wsparła się o kostur zielarki. Przed sobą ujrzała nieznaną kobietą twarz. Owiał ją zapach wypalanej ziemi i dymu. Okolone czarnymi rzęsami zielone oczy szukały jej spojrzenia. Wszystko zdawało się pulsować zielonym światłem.

– Sella! Gdzie jest Sella! – Słyszała przytłumione, niewyraźne okrzyki. – Frigg! Zrób coś!

– Witia! Chronić Witie!

– Ren! Do psiej nędzy, rusz się!

Saja nic nie rozumiała. Jej umysł wciąż jeszcze zajęty był łamigłówką wspomnień hogera. Oszołomiona nagłym powrotem do ciała, patrzyła bezmyślnie w twarz pochylającej się nad nią kobiety.

Trybald – zrozumienie zakwitło w końcu w umyśle Sai. – *Tolef był w lobach Veita.*

W tej samej chwili oczy nieznaną kobietą znalazły tęczowe spojrzenie Witii. Dziewczyna aż straciła oddech, gdy ogarnęło ją płonące ogniem szaleństwo. Nozdrza wypełnił zapach popiołu i pogorzeliska. Wspomnienia cierpień hogera, jeszcze świeże w jej pamięci, mieszały się z zapachem pożogi i budziły widma z jej własnej przeszłości. Jej dom. Płonący w ciemności zimowej nocy. Jej matka. Wpatrująca się w niebo pustym, martwym wzrokiem. Jej ojciec. Wielka dziura w jego piersi. Ból, samotność, ucieczka przez las. Gniew i dawno zapomniane marzenia o zemście zapłonęły gorącym, wszechogarniającym płomieniem.

– Gorze... – wyszeptała spękanymi wargami. – Gorze...

Gdzieś z boku usłyszała szybkie kroki i dźwięk padających na ziemię kamyczków.

– Gorja, skarbie – odezwał się kobiecy głos. – Zostaw ją. Choć, masz tu kamyczki.

Nieznaną kobietą odwróciła wzrok. Saja, wyrwana nagle z płomiennych otchłani szaleństwa, łapała oddech jak po długim nurkowaniu. Zielony blask magii zapulsował na drewnie kostura. Było jej bardzo zimno. Potrząsnęła głową, by wyrwać się z ogarniającego ją odrętwienia. Chwilę potem otoczyły ją

tarcze korowych.

– Witio! – Usłyszała głos Frigg. – Saja! Nic ci nie jest?!

– Nie zbliżaj się, ragano! – Wypełniony groźbą głos Bożana odezwał się za jej plecami.

– Bo co? – zakpiła Łamiąca Lód.

– Ragano, ostrzegam cię. – Raja stanęła w obronie korowych i Witii.

– Co się dzieje? – wychrypiała Saja wyschniętymi ustami.

– *Nie wiemy.* – Głos Oleny był jak zwykle spokojny. – *Pojawiła się ta szalona kobieta i wszystkie ragany powariowały. Frigg walnęła w ciebie lodem, całe szczęście, że Raja zdążyła przywołać moc. Ta golaska od wiatru przewróciła korowych i wypchnęła ich aż za linię ognisk.*

– *Zdrada?* – zastanawiała się Saja, na wszelki wypadek przywołując rusalki.

– *Nie wiemy* – powtórzyła zielarka.

– Frigg! Co tu się dzieje? – wykrzyknęła do Łamiącej Lód.

– Witio, pozwól mi wytłumaczyć – odkrzyknęła Frigg.

– Bożan, Oleg, zróbcie mi miejsce z przodu! – rozkazała korowym Saja.

Wysokie tarcze posłusznie rozsunęły się. Bracia płynnie stanęli za plecami Witii. Zbrojna w kostur, otoczona zielnym blaskiem magii zielarka ustawiła się tuż obok. Saja pozwoliła, by złoty blask żywicy Drzewa Wspomnień spłynął z jej palców. U jej stóp zbierała się mgła.

– Saja, na Lód i Fale! Opanuj się! – Frigg postąpiła krok ku gotowej do walki grupie Daborczyków.

– Nie zbliżaj się, ragano – powiedziała Saja z groźbą w tęczowych oczach.

Frigg zatrzymała się w pół kroku. Wyciągnęła otwarte dłonie, by pokazać, że nie ma złych zamiarów. Stojące obok niej Noord i Svana również uniosły ręce i cofnęły się posłusznie. Magia zielarki i zimne szepty rusalek otaczały grupę Daborczyków i zdawały się trzymać ragany na bezpieczny dystans. Nieznajoma, dziwna kobieta siedziała na ziemi i mamrocząc coś niezrozumiale, bawiła się kolorowymi kamyczkami. Jej czarne, kręcone włosy opadały na ramiona i zasłaniały twarz.

– Witio, proszę cię, pozwól nam wytłumaczyć – zaczęła

Frigg ostrożnie.

– Tłumacz – odparła Saja. – Ale zostań, gdzie jesteś, i nie ruszaj rękami.

Łamiąca Lód odetchnęła z ulgą. Skinęła głową ku bawiącej się kamykami kobiecie.

– To jest Goria. Jest jedną z nas, jest raganą, ale nie jest ... Nie jest... – Tu Frigg przerwała, jakby szukając odpowiedniego słowa.

– Krótko mówiąc, jest szalona. Zwykle pozostaje pod opieką Selli i Ren. Na nieszczęście zgubiła się w tym dzisiejszym zamieszaniu. Wmaszerowała na nasze zebranie, kiedy zielarka pracowała nad Tolefem. Nie mogłyśmy jej zatrzymać. Z jakiegoś powodu zainteresowała się tobą, Witio.

– Czemu mnie zaatakowałaś? – Saja nie miała cierpliwości na rozwlekłe tłumaczenia Frigg. – Czemu zaatakowaliście Bożana i Olega?

– Nie zaatakowałam cię! – oburzyła się Frigg. – Chciałam cię otoczyć lodem. Noord odepchnęła korowych, bo się rzucili na Gorię! Nie chciałyśmy, żeby wybuchła.

Saja nic nie rozumiała z poplątanych tłumaczeń Frigg. Nie wyczuwała w raganach złych intencji, ale z drugiej strony nie potrafiła im tak po prostu zaufać. Wiedziała, jak łatwo jest ukryć prawdziwe zamiary pod płaszczem kłamstw. Była przekonana, że dla Frigg oszukanie Witii nie stanowiłoby większego problemu. Dodatkowo wspomnienie ognia płonącego w oczach Gorii mąciło jej myśli. Sfrustrowana, zacisnęła pięści, próbując wymyślić jakieś rozsądne wyjście z impasowej sytuacji.

– Witio, zbadaj mnie – wykrzyknęła Frigg. – Użyj mgły! Wyślij kogokolwiek!

Użyj mgły? O co jej chodzi? – zastanawiała się Saja. Spojrzała ku kulącym się u jej stóp rusałkom. *Mgły zaświatów!* – Olsniło ją w końcu. Frigg pochodziła z rodu Drewian i tak jak każda kobieta z tego rodu połączona była nierozzerwalną więzią z zaświatami. Jedna z przodkiń mogła użyć tej więzi, aby zajrzeć w duszę ragany i wy badać jej prawdziwe intencje. *Olena?* – Saja wysłała myśl ku przodkini. – *Możesz ją sprawdzić?*

– *Tak, Witio.* – Usłyszała w odpowiedzi. – *Już idę.*

Saja rozluźniła się nieco. Zmusiła się do głębokiego, spokojnego oddechu. Starła się oczyścić myśli z trawiących je płomieni

i marzeń o zemście. *Co ta Goria mi zrobiła?! W kręgu ognisk panowała napięta cisza. Stojąca obok Gorii ragana co chwilę rzucała garść kolorowych kamyków na ziemię u stóp obłąkanej kobiety. To pewnie ta Ren* – pomyślała Saja. Opiekunka Gorii wydawała się być mocno poirytowana. W świetle ognisk udrapowany na jej ramionach szal wyglądał jak zbocza skalnego urwiska. Jej włosy były przycięte krótko na bokach, a na czubku głowy nastroszone, jakby na kształt górskich szczytów. *Pewnie jakiś bóg skał* – zgadywała Saja.

– Śliczna panienka nie kocha? – Zimny szept rusałek przerwał rozmyślenia dziewczyny.

– Kocham was, siostry – zapewniła Saja.

Wysłała ku nim więcej złotego blasku. *Wytrzymajcie jeszcze trochę* – modliła się.

Przykucnięta na ziemi Goria zacisnęła kamyki w drobnej dłoni. Zachichotała, a spomiędzy jej palców uniósł się dym. *To jest jakiś obłąd* – pomyślała zniecierpliwiona Saja.

– *Witio, wszystko w porządku!* – Olena przerwała napięte oczekiwanie. – *Możesz jej zaufać.*

– *O co tu chodzi?* – dopytywała się Saja.

– *Ta Goria jest opętana mocą Hev, boga zemsty. Zwykle nie jest groźna...*

– *Matko, nie możesz mi po prostu pokazać?* – Zniecierpliwiona Witia z trudem powstrzymywała się od warczenia na zielarkę. – *Będzie szybciej.*

– *Witio, Frigg ma prawo do prywatności* – zrugła ją przodkini. – *Jeśli ci prześlę jej myśli, mogę ujawnić coś, co nie jest moim do ujawnienia. Zatem, jak mówiłam* – podjęła Olena – *Goria zwykle nie jest groźna, ale jeśli się zdenerwuje lub przestraszy, to ma w zwyczaju palić wszystko dookoła. Ta golaska Noord chciała zatrzymać korowych, żeby nie przestraszyli Gorii. Frigg próbowała wzniesić wokół ciebie ścianę lodu, aby cię bronić.*

– *Bogowie...* – Saja przetarła twarz dłonią. – *Wszyscy byśmy się pozabijali przez jakieś głupie nieporozumienie...*

– *Witio, to są ragany!* – Olena nie ukrywała kpiny w głosie. – *Spójrz tylko na nie. Oczekujesz opanowania? Od nich?*

Saja przywołała rusałki. Skinęła głową ku Frigg, aby dać jej znać, że rozumie. Łamiąca Lód wyraźnie się rozluźniła i opuściła

dłonie. Otaczające ją ragany uczyniły to samo. Raja odwołała zielony blask magii zielarek.

– Wszystko w porządku – powiedziała Saja do korowych. – To było tylko nieporozumienie.

Rośli bracia patrzyli na Witię bez zrozumienia.

– Pani, mówisz po trogeńsku – powiedział Bożan z szacunkiem.

Saja klepnęła się otwartą dłonią w czoło. Miała ochotę wyć. Ten dzień był zdecydowanie zbyt długi i zbyt obfitujący w wydarzenia.

– Przepraszam, Bożan – powiedziała po daborsku. – Wszystko w porządku, to było nieporozumienie. Ragany wciąż są naszymi sojusznikami.

– Witia wie. – Oleg przyłożył pięść do piersi i skłonił się z szacunkiem.

Korowi opuścili tarcze. Saja przyjrzała się im dokładnie. Wyglądało na to, że bracia wyszli ze starcia z raganami bez większego uszczerbku na zdrowiu. *Mogło być dużo gorzej* – pomyślała z ulgą.

– Tośmy się zabawili – stwierdziła Raja kwaśno. – A nasz Tolef wszystko przespał – dodała, wskazując ku uwięzionemu w kamiennych okowach mężczyźnie.

Hoger klanu Sylte siedział na kamieniu, ciasno oplątany zielonymi pędami. Na jego brodatej, szerokiej twarzy malował się wyraz błogości. Jego oczy były zamknięte, a z ust wydobywało się miękkie pochrapywanie.

– Coś ty mu zrobiła, Witio? – zapytała po daborsku Frigg, delikatnie dotykając ramienia Sai.

– Nie jestem pewna...

– Nie pozwoliłabym cię skrzywdzić. – Frigg pochyliła się i patrząc władczyni Daboru w oczy, zapytała z powagą: – Mam nadzieję, że o tym wiesz?

Saja skinęła głową. Spojrzała raz jeszcze ku pochrapującemu Tolefowi i uśmiechnęła się krzywo do ragany.

– Ale to zrobiła Raja – powiedziała. – Ja tylko trzymałam kostur.

– To się rozumie. – Frigg poklepała ramię Witii. – Zresztą, kto by uwierzył, że takie chude dziewczę potrafi coś więcej, niż świecić tęczowymi oczami i poganiać rusałki.

– Pani! – Napięty głos Bożana przerwał rozmowę Witii i ragany. – Ta szalona tu idzie.

Saja odwróciła się od Tolefa. Poczuli fałę zimna napływającą od strony Frigg. Chwilę potem delikatna warstwa szronu pokryła fałdy jej sukni. Dała znak korowym, aby trzymali się z tyłu. Raja stanęła obok Frigg i przywołała magię zielarek. Linie zielonego blasku splątały się z lodowymi wzorami na szacie Witii. Za plecami staruchy ragany wznosiły już osłony dookoła korowych.

– Spokojnie – powiedziała Frigg. – Pewnie się chce przywitać.

Goria stanęła naprzeciwko Sai. Na jej bladej, okolonej burzą czarnych włosów twarzy malował się nieśmiały uśmiech. Ubrana była w prosto skrojoną tunikę, której dziwnie sztywną materię zdobiły lśniąco metaliczne wzory. Ramiona i widoczne w wysokim rozcięciu tuniki nogi pokrywały spiralne wzory tatuaży. Stojąca obok niej Ren wyglądała na poirytowaną. Skrzyżowała ramiona na piersi i przewróciła oczami.

– Kamyczki jej się, zaraza, znudziły – rzekła z kwaśną miną.

– Witio, to jest Ren – powiedziała Frigg odrobinę kąśliwym tonem. – Ren jest opiekunką Gorii. Zwykle trzyma ją z daleka od kłopotów.

– Już dałabyś spokój z tą zgryźliwością, Frigg. – Ren najwyraźniej nie była w dobrym humorze. – Sella miała się nią zajmować. Ja też mam życie, wiesz?

Goria, niezbyt przejęta niezadowoleniem opiekunki, przechyliła głowę i dotknęła palcem szronu na sukni Sai. Witia zesztywniała.

– Co mam robić? – zapytała z niepokojem.

– Nic – powiedziała Ren. – Napatrzy się i sobie pójdzie. Tylko nie można jej drażnić, bo znowu się zapali.

– Nie możecie jej zamknąć, czy coś? – zapytała Saja, zmuszając się do spokoju.

– To jest nasza siostra, Witio – odparła Frigg. – Każda z nas mogła skończyć jak ona.

– Żywią cię ochroni – wtrąciła zielarka Raja po daborsku. – Okażesz raganom szacunek, jeśli będziesz dla niej miła.

Miła! – pomyślała Saja, z trudem zachowując spokój – *Mam być dla niej miła!* Goria zainteresowała się teraz krajką zatkniętą

za pas Witii. Wodziła palcem po zdobnych zausznicach przycepiionych do kunsztownie plecionej taśmy.

– Nie rozumiem? Co to znaczy skończyć jak ona? – Saja doszła do wniosku, że rozmowa może pomóc jej przestać myśleć o całkiem realnej możliwości splonięcia żywcem.

– Nasi bogowie są jak my, Witio – tłumaczyła Frigg spokojnym tonem. – Szanują upór i siłę. Nie dają błogosławieństwa byle komu. Żeby otrzymać moc bogów, ragana musi najpierw przyjąć ich gniew.

– I Gorii się nie udało?

– Nie do końca... – odparła Frigg. – Przeżyła...

– Ale oszalała – dodała Ren.

Saja przypomniała sobie wypełnione ogniem oczy Gorii. Według słów Oleny Goria była opętana mocą Hev, boga zemsty. W przeblysku zrozumienia pojęła nagle, dlaczego płomienie trawiące raganę obudziły w niej marzenia o zemście.

– Ona nie jest szalona – wyszeptała zdrętwiałymi nagle ustami. – Ona jest wypełniona bogiem.

– Właśnie – zgodziła się Frigg. – Znaczy szalona.

Goria zupełnie nie zwracała uwagi na obserwujących ją w napięciu ludzi. Wyciągnęła zdobną opaskę zza pasa Sai. Przez chwilę trzymała ją w dłoni, jakby próbowała zrozumieć przeznaczenie tego przedmiotu.

– To idzie na głowę, sestro – odpowiedziała Ren.

Goria uniosła opaskę i zausznice do twarzy. Z zachwyconą miną przesunęła zimnym metalem po policzku.

– Na głowę, nie na twarz – tłumaczyła Ren. – Na głowę.

Delikatnie wyjęła opaskę z dłoni Gorii i nałożyła ją na kędzierzawe włosy podopiecznej.

– Widzisz? Na głowę!

– Pięknie wyglądasz, Goria – powiedziała Frigg, uśmiechając się przyjaźnie.

– Możesz to zatrzymać – dodała Saja.

I sobie pójść – pomyślała z nadzieją. Radosny uśmiech rozjaśnił bladą twarz Gorii. Wyciągnęła ku niej zaciśniętą w pięść dłoń. *Bogowie, czego ona ode mnie znowu chce?* – zastanawiała się Saja nerwowo. Nauczona wcześniejszym doświadczeniem, starannie unikała patrzenia w oczy obłąkanej kobiety. Skupiła

wzrok na zaciśniętej pięści ragany. Smukłe, blade palce Gorii otworzyły się, odsłaniając ogromny, lśniący w świetle pochodni, krwistoczerwony rubin.

– Chyba cię lubi, Witio – powiedziała z uznaniem Ren. – Już dawno takiego wielkiego nie zrobiła.

– To dla mnie?! – Oślupiała Saja nie mogła oderwać wzroku od szlachetnego kamienia. – Przecież to jest warte krocie!

Goria uniosła ogromny rubin, zachęcając Witię do przyjęcia daru.

– Mogę? – zapytała Saja niepewnie. – Nie spali mnie?

– Od razu spali! – obruszyła się Ren. – Szczęśliwa teraz, nie przecież nie robi.

Ośmielona Saja sięgnęła ostrożnie po szlachetny kamień. Ogromny rubin był ciężki i bardzo ciepły. Dziewczyna patrzyła na krwistoczerwony klejnot oniemiała.

– *Podziękuj przecież!* – podpowiedziała Lida.

Saja posłusznie podniosła głowę ku uśmiechniętej Gorii.

– Dziękuję – powiedziała.

Czarnowłosa kobieta roześmiała się radośnie, poprawiła zausznicę, odwróciła się na pięcie i odeszła bez słowa. Ren z ciężkim westchnieniem podążyła śladem podopiecznej. Saja w milczeniu patrzyła za odchodzącą Gorią. Bezpieczna z dala od wypełnionej płomieniami zemsty ragany, poczuła ogarniającą ją falę zmęczenia i ulgi. Na trzęsących się nogach powlekła się do najbliższego kamienia. Opadła na omszałą skałę i schowała twarz w drżących dłoniach. *Dari, synu Kowala i Matki* – modliła się. – *Ześlij mi dzień dobry...*

– *Jak zwykle przesadzasz...* – Wena przerwała modlitwy wnuczki. – *Przecież nic by ci nie zrobiła.*

– *Nic?! –* odparła Saja. – *Czy ty w ogóle widziałas Frigg?! Ona była przestraszona! Prze-stras-zo-na! Widziałas ją kiedyś przestraszoną?!*

Odpowiedziało jej milczenie.

– *Tak myślałam...* – mruknęła Saja i powróciła do modlitwy.

Saja z zazdrością patrzyła na korowych i zielarkę. Jej towarzysze spali jeszcze mniej niż ona, a mimo to wyglądali na wypoczętych.

Dziewczyna z trudem powstrzymywała ziewnięcia. Było dobrze po północy, kiedy skończyła rozmowy z przywódcami klanów. Resztę nocy spędziła w zaświatach wraz z przodkiniami, planując, jak w ciągu kilku miesięcy zakończyć wojnę toczącą się od kilku lat. Powróciła do swojego ciała tylko po to, aby ubrać się i przygotować na powrotną podróż do Daboru. *Ale przynajmniej nie muszę chodzić w tej głupiej sukni* – pocieszała samą siebie.

Wraz z Senkiem, Mirem i zielarką maszerowali brzegiem urwiska. Zmierzali ku ukrytej w małej zatoczce łodzi. Czekali tam na nich sterniczka Kraken i reszta korowych. Saja spodziewała się również spotkać tam Frigg z kilkoma raganami, które miały zapewnić im szybką i bezpieczną podróż do Daboru. Zawsze pełen energii Skra jak zwykle biegał dookoła, węszył i obsikiwał starannie wybrane kępki trawy i kamienie. Saja złapała się na tym, że próbuje zrozumieć kryteria, według których wilk wybierał miejsca do obsikiwania. *Muszę się wyspać* – powiedziała sobie, zawstydzona głębią swoich rozmyślań. – *Po-rządnie wyspać.*

– Ostrożnie, pani, tu się robi stromo. – Usłyszała dobiegający z tyłu głos Senka.

– Pozwól, pani. – Idący przodem Miro wyciągnął do niej dłoń.

– Miro, weź przestań z tą panią – zdenerwowała się Saja. – Jeszcze mi się w głowie poprzewraca!

– A Senko to może? – zakpiła zielarka.

– Nikt nie może! – Saja chwyciła dłoń Mira i zsunęła się na wykutą w skale wąską ścieżkę.

– Jak rozkażesz, Witio – rzekł Senko poważnym tonem.

– Miro, skoczże no po jakieś pióra i czernidło – powiedziała Raja. – Będziemy zaraz nowe prawo pisać! Witia zakazuje mówić «pani».

– Się rozumie, matko – odparł pogodnie korowy. – W skrzyniach na łodzi na pewno coś się znajdzie.

– Miro! – oburzyła się Saja.

– Tylko jak do bab będziemy mówić? – Senko zastanawiał się na głos.

– Prukwo? – zasugerował Miro.

Senko zarechotał rozbawiony. Saja, z braku słów, odwróciła się i pokazała towarzyszom język.

– Ostrożnie, Witio, patrz, gdzie stawiasz kroki – powiedział jej Senko. – Jeszcze się przewrócisz i co będzie?

– W głowie się Witii poprzewraca albo jeszcze gorzej. – Zielarka pokiwała głową z powagą.

– Śmieście się, śmieście – naburmuszyła się Saja. – Dopłyniemy do Daboru i znowu będziecie musieli do mnie mówić zwyczajnie.

Po śmierci Weny, ostatniej Witii, Dabor pograżył się w chaosie. Brak przywództwa i wewnętrzne skłócenie kraju było najważniejszym powodem, dla którego Lobardia, prowincja Cesarstwa Hemaru, wygrywała toczącą się od pięciu lat wojnę. Powrót Witii był jedyną szansą Daboru na odzyskanie przewagi i pokonanie przeciwników. Przodkinie nie miały wątpliwości, że Veit Astholm będzie chciał pozbyć się Sai, kiedy tylko dowie się o jej istnieniu. Aby opóźnić przekazanie wieści do Lobardii, ragany dwoiły się i troiły, przechwytyując ptaki, opóźniając statki i blokując wszelkie możliwe i niemożliwe kanały komunikacji. Jednakże Saja nie miała złudzeń, że Veit dowie się o nowej Witii najdalej w ciągu tygodnia. Przodkinie spodziewały się, że powrót do Sławy z wysp Trogen zajmie w najlepszym wypadku dziesięć dni. Było więc niezwykle ważne, aby Witia podróżowała w tajemnicy. *Do Sławy, w górę rzeki, będzie ze dwa tygodnie* – pocieszała się Saja. – *Będziemy się musieli ukrywać, to żaden się nie odważy nazywać mnie Witią.* Z pochyloną głową, zmęczona, podążała wąską ścieżką ku plaży. Nie mogła się doczekać powrotu do Daboru. *Miro znowu mnie będzie nazywać pchłą* – rozmarzyła się. – *Skra już zdrowy, będzie mógł się barwić.*

Nagle idący przed nią Miro zatrzymał się. Pograżona w rozmyślaniach Saja nie zauważyła tego i wpadła na opiekuna. Korowy płynnym ruchem chwycił ją za ramię i popchnął na zimną skałę urwiska.

– Co, parchy?! – zaklęła Saja.

– Cii – uciszył ją Miro.

Zielarka, z dłonią zaciśniętą na kosturze, stanęła obok Witii. Senko bezszelestnie podszedł do Mira. „Może niebezpieczeństwo. Czeakać.” – Witia czytała pokazywane przez Mira znaki. *Nęcia mać, znowu?! – zaklęła.* Stała oparta plecami o zimną skałę, starając się oddychać bezgłośnie. Kudłaty Skra usiadł u jej stóp i polizał jej dłoń szorstkim językiem.

– *Ta walnięta Goria wlaźła na łódź Kraken!* – Usłyszała poirytowany głos Weny.

– *Co?! Czemu?!*

– *Frigg mówi, że Goria chce z tobą płynąć. Że niby cię polubiła. Próbuje ją teraz odciągnąć, ale jakoś im nie idzie.*

– *Pójdę im pomóc* – wymruczała Raja, zapewne poinformowana już o wydarzeniach na plaży.

Saja skinęła głową i wciągnęła brzuch, by umożliwić zielarce przejście po wąskiej ścieżce.

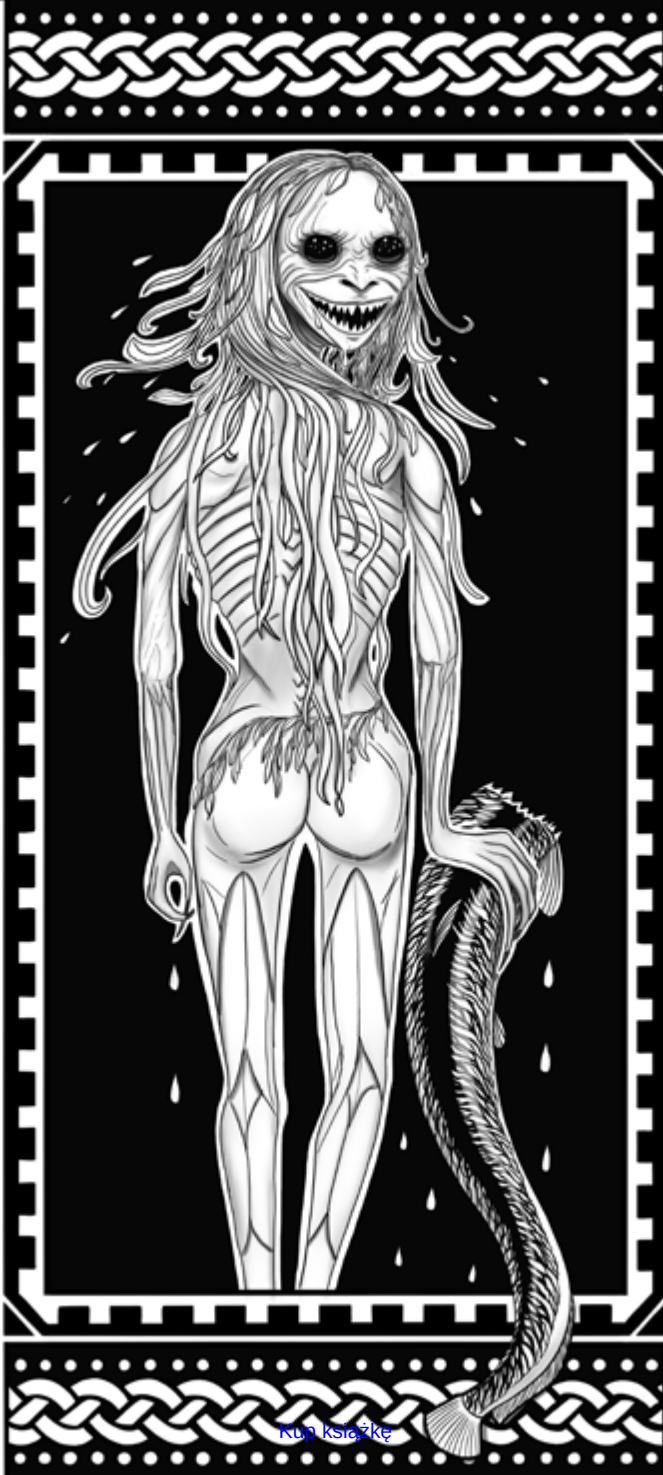
– *A Senko i Bożan? Kraken?* – zapytała babki.

– *Cali i zdrowi. Kraken klnie na czym świat stoi. Mówi, że jak jej spalą Nawie, to ich pozabija.*

Saja osunęła się na ziemię i objęła ramieniem Skrę. *No to sobie poczekamy* – pomyślała smętnie.



[Kup książkę](#)



Witia: Żmije
Copyright © Magdalena Lewandowska, Małgorzata Lewandowska
Copyright © Wydawnictwo Genius Creations
Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak
Copyright © for the cover art by Małgorzata Lewandowska
Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2020 r.

książka ISBN 978-83-7995-552-7

ebook ISBN 978-83-7995-553-4

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski
Redakcja: Bożena Walewska
Korekta: Barbara Mikulska
Adiustacja autorska wydania: Marcin A. Dobkowski
Ilustracja na okładce: Małgorzata Lewandowska
Ilustracje w tekście: Małgorzata Lewandowska
Skład wersji elektronicznej: proAutor.pl

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotoottycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak
ul. Kormoranów 126/31
85-453 Bydgoszcz
sekretariat@geniuscreations.pl
www.geniuscreations.pl

Książka najtaniej dostępna w księgarniach
www.MadBooks.pl
www.eBook.MadBooks.pl